№ 46 Warszawa, dnia 3 (15) Listopada roku 1879.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

UWAGI NAD KONKURSEM

książki popularnéj dla włościan.

Szlachetna myśl zacnego obywatela z Opoczyńskiego, pragnącego przy pomocy konkursu uzyskać dla włościan dzieło obejmujące wszystkie zasady moralności społecznéj i obowiązki względem siebie jak i ogółu, znaną już jest powszechnie. Prasa peryodyczna, jak się spodziewać należało, przejęła ją z wielkiem zajęciem, ale w ocanie warunków konkursu okazała stanowcze różnice, i gdy jedni bezwarunkowo je przyjmowali drudzy wykazywali niepraktyczność wykonania a między nimi głównie wystąpił w Kuryerze Warszawskim, p. Jan Jeleński znany z prac piśmiennych w przedmiocie gospodarstwa społecznego. Oświadczył on w swoich uwagach, że książka według wymagań konkursu mająca objąć wszystkie wiadomości dla włościanina potrzebne i pożyteczne, a więc mająca być niejako encyklopedyą, i to w formie opowieści przygotowaną, przechodzi siły jednego człowieka, i że każdy sumienny pracownik któryby chciał się zabrać do napisania jéj, musiałby być: dobrym teologiem, prawnikiem, administratorem, ekonomistą, ogrodnikiem, medykiem, weterynarzem, geografem, przyrodnikiem, zajmującym moralistą, wytrawnym rolnikiem, zamiłowanym pszczolarzem, znającym rzecz leśnikiem, miłośnikiem gospodarstwa rybnego znającym się na rzemiosłach i t. p.

Kuryer Codzienny, jako organ który pierwszy podał wiadomość o konkursie, nie podzielił tego zdania oświadczając, że w warunkach wspólna praca kilku nie jest wzbronioną byle *jednorodnością formy była zachowaną*: że *nietrudno* będzie kilku ludziom złożyć taką całość, któraby w kilkunastu odrębnych opowieściach i gawędkach wyczerpała treść programu, i że wreszcie nie pojmuje dlaczego takie zadanie ma przechodzić siły jednego człowieka? Wszakże zdrowy rozsądek wskazuje, mówi dalej Kuryer Codzienny, że zasób wiadomości zawarty w takiéj książce *bardzo mało* potrzebuje przenosić poziom elementarnego nauczania, pod względem więc *ilościowego* zasobu wiedzy do napisania takiéj książki, zdolnym będzie *każdy średnio* wykształcony człowiek, znający życie włościan i stosunki ziemiańskie.

Oto są główne różnice w zapatrywaniu się na warunki konkursu, jako więc cokolwiek doświadczonemu w podobnego rodzaju pracy, niechże mi wolno będzie wystąpić z własnemi uwagami. Nie osłabi to, jak się obawiają Nowiny, ani zacności ofiary szanownego Obywatela z Opoczyńskiego, ani nie zniechęci pragnących przystąpić do konkursu, a zawsze choć troszkę przyczyni się do rozjaśnienia kwestyi oświaty ludowéj pono jednéj z najważniejszych.

Dopuszczenie zbiorowéj pracy w przygotowaniu książki przez konkurs ogłoszonéj, zdaje mi się że jest niemożebnem. Ochotnicy mogą się znaleźć w różnych miejscowościach bardzo znacznie od siebie oddalonych, któż ich w takim razie wynajdzie, kto zgromadzi w jedno grono dla wspólnego porozumienia się, obmyślenia planu i rozdzielenia pracy? Jedna narada to nie dosyć, znoszenie się musi być częste a czy da się to wykonać jeżeli obowiązki przyszłych pracowników trzymać ich będą w znacznych pomiędzy sobą oddaleniach?

Konieczna także jednorodność formy, wymaga jednego redaktora, którego zdaniu bezwarunkowo zaufaliby towarzysze, i poprawki i przeróbki przyjąwszy bez gniewu uznali za swoje.

Kto zna tego rodzaju mozół owych poprawek i przeróbek, ten przyzna że zadanie to i niełatwe i nader uciążliwe.

Spełniający je dla nadania jednorodności w formie, musiałby nieraz całe działy przerabiać zachowując w nich tylko treść główną, któż wówczas byłby właściwie autorem książki, i komu nagroda sprawiedliwie dostać się winna? Zaparcie się *miłości* własnéj dla pięknego celu, jest bezwątpienia cnotą wielką, ale kwestyą tak rozmyślnie stawiać, aby poświęcenie było koniecznem, nie zdaje mi się praktycznem. Jesteśmy ludźmi zmuszonymi ciężko na kawałek chleba pracować, rozporządzajmy się więc we wszystkiem po ludzku nic nie rachując na bohaterstwo.

Zdaje się więc że książka przez jednego musi być napisaną, i że ten jeden musi wszystko to umieć co pan Jeleński kategorycznie w swych uwagach wymienił. Wprawdzie Kuryer Codzienny umiejętność tę przedmiotów tak różnych, sprowadził do nader skromnych wymagań średniego tylko wykształcenia, i powstał na pana Jeleńskiego, iż domaga się w przyszłym autorze specyalności aż w 15 przedmiotach; ale zdaje mi się że Kuryer się myli. Zapewne że specyalność w takim stopniu jaką przypisujem uczonym, jest tu zbyteczną, ale i po amatorsku uprawiając jaki naukowy przedmiot, co jak w tym razie jest koniecznem, już wyłącznie jemu jednemu zwykle się poświęcamy. Jest to proste następstwo tak z braku czasu wynikające jak i z natury upodobań naukowych, nigdy się na kilkanaście kierunków nie rozdzielających. Przystępując zatem do pisania książki w mowie będącéj, koniecznie posiadać potrzeba piętnaście specyalności naukowych wyliczonych przez pana Jeleńskiego i to gruntownie, nie jako średnio wykształcony człowiek, ale jako dokładnie obznajmiony teoretycznie z każdym przedmiotem, bo tylko o tem co się zna dobrze i dokładnie można pisać jasno i zrozumiale, tak właśnie jak lud wymaga.

Sprawozdawcy w pismach peryodycznych z ruchu naukowego takiemi po większéj części są specyalistami i nie ma ani jednego pomiędzy nimy, któryby

się poświęcał kilku działom a cóż dopiero kilkunastom.

Czy zatem znajdzie się tak wszechstronnie wykształcony człowiek do napisania książki konkursowéj? Trudno rzecz tę przesądzać ale można powątpiewać. Czyby więc nie lepiéj było warunki konkursu ograniczyć na saméj części moralnéj i religijnéj, która w formę powieści, powiastek lub gawędy da się łatwiéj ująć, a część naukową i informacyjną zostawić do późniejszego czasu. Pan Jeleński wyraża także obawę iż książka gdyby nawet została napisaną i wydaną, zbytnią obszernością będzie odstręczać od siebie włościanina. Obawa to dosyć uzasadniona.

Konkurs żąda w pierwszym zaraz dziale dotyczącym religijnych i moralnych potrzeb ludu: wytłomaczenia pacierza, przykazań bozkich i kościelnych, siedmiu grzechów głównych, ważniejszych dogmatów wiary, sposobem przystępnym, przeplatanym przykładami z życia bez przeciążania gawędy suchemi katechicznemi formułami.

Żądanie bardzo słuszne, ale chcąc choćby pierwsze słowa codziennéj modlitwy: *Ojcze nasz któryś jest w niebie*, przedstawić we wszystkich przejawach życia ludzkiego, że Bóg rzeczywiście jest naszym ojcem pełnym łaski i miłosierdzia, już daje temat na dość obszerną powieść, jeżeli zaciekawieniem i dramatycznością formy, prawdę tę w sercu czytelnika chcemy ugruntować. Same przykłady z życia sposobem anedoktycznym opowiedziane celu tego nie osiągną, bo im właśnie braknie na téj formie, głównie na wyobraźnię czytelnika działającéj.

Podobnego rozwinięcia wymagają i dalsze słowa modlitwy, a cóż dopiero przykazania, grzechy główne i ważniejsze dogmata wiary, których pojmowanie nietylko przez lud bywa fałszywe i pełne przesądów, jak owa powierzchowna pobożność, spełnianie formułek, klepanie bezmyślne pacierzy, brak prawdziwéj miłości Boga i ludzi a ztąd wypływający brak dobrych uczynków, uważania wszystkich ludzi za braci, nienawiść rasowa i kastowa i nietolerancya religijna, jak to warunki konkursu szczegółowo wymieniają.

Zastanowiwszy się nad tem, łatwo osądzić, że samo rozwinięcie zasad religii i moralności jużby mogło utworzyć małą biblioteczkę, a tu warunki konkursu domagają się jeszcze: wykazania zgubnych skutków pijaństwa a tem samem próżniactwa, marnotrawstwa, nieszanowania cudzéj własności: określenia stanowiska włościan względem wsi i gminy własnéj, praw obywatelstwa: wpojenia poszanowania porządku prawnopaństwowego, obowiązku przykładania się do dobra gminy, do brania udziału w budowie kościołów, szkółek, konserwacyi dróg i mostów, dania zasadniejszych pojęć elementarnych o urządzeniach administracyjnych i sądowych; odwodzenia od porady pokątnych doradzców: skarcenia i wyśmiania powstającego pieniactwa. Daléj warunki konkursu żądają: treściwego opowiedzenia na czem polega dobra orka, hodowla bydła, jak należy siać, bronować, pleć, żąć zboże i siano, krzątać się około ogrodów warzywnych i owocowych: zwrócenia uwagi na pszczolnictwo, na konieczność szanowania lasów, zwierzyny, ryb w rzekach: wykazania potrzeby uczenia się rzemiosł i rękodzieł, rozbudzenia z bezczynności na polu przemysłowem, objaśnienia choć cokolwiek o stosunkach i prawach handlowych, zwrócenia uwagi na choroby bydła z przytoczeniem niektórych wiadomości weterynaryjnych, wytępienia wiary w baby znachorki i w owczarzy leczących bez żadnéj nauki z podaniem wiadomości hygienicznych i nieszkodliwych środków leczniczych, obudzenia poszanowania nauki, błogich jéj korzyści, dania wiadomości o innych krajach i ludziach i wytłomaczenia, o ile się da, zjawisk atmosferycznych i ustroju przyrody.

Oto są temata główne warunkami konkursu objęte do których zdaje się że nic już dodać nie można, tak wyczerpują wszystko z czem pragnęlibyśmy lud nasz obznajmić. Czyż więc nie słusznie p. Jeleński nazwał książkę taką, encyklopedyą wszelkich wiadomości jakie dla włościanina są potrzebne i pożyteczne? Jeżeli nadto zważymy, że każdy główny temat w rozwinięciu rozbić się musi na kilka lub kilkanaście podziałów wymagających oddzielnego obrobienia, i jeżeli dla każdego z tych podziałów pomimo największéj powściągliwości w rozszerzaniu się, w przecięciu trzeba będzie poświęcić przynajmniéj dziesięć stronnic, co jest prawie niepodobieństwem, to i tak książka konkursowa za dobrą uznana musiałaby obejmować najmniéj kilkadziesiąt arkuszy. To cokolwiek za wiele.

Sam ogrom książki, jak to słusznie utrzymuje p. Jeleński, jużby nie pociągnął ale odstręczył. Włościanin jako nieprzyzwyczajony do zajmowania się książką i nieprawny w czytanie, czyta wolno a drażniony ciekawością, któréj obudzenie jest tu konieczne, radby jak najprędzéj dowiedzieć się końca, i zmuszony długo dobijać się do niego zapomina wreszcie początku i książkę porzuca. Podzielenie na rozdziały obejmujące pewną całość skończoną, mogłoby temu zaradzić, ale czy w takim razie to drażnienie ciekawości tak niezbędne, da się właściwie rozwinąć, czy rozdziałki jak tego bardzo słusznie warunki konkursu wymagają, będą nacechowane formą, *żywą powieściową, trafnem przedstawieniem charakterów, scen i zwyczajów życia ludowego ogrzanem ciepłem uczucia, promieniami wioskowéj fantazyi, ożywionem w danym razie, żwawym pogodnym humorem z unikaniem suchego książkowego stylu lub sztywnego morału*? Książka aby zalecała się temi przymiotami musi być albo jedną powieścią z tak zręcznie ułożoną osnową, aby wypadki w niéj wikłając się, dały możność dotknięcia wszystkich tematów przez konkurs wskazanych: albo też zbiorem odrębnych powiastek w jedną organiczną całość związanych. W pierwszym razie powieść jednolita warunkowi drażnienia ciekawości prędzéj zadość będzie mogła uczynić, ale jako z konieczności zbyt obszerna pomimo największych zalet jéj napisania, tylko z wielką trudnością do końca przeczytanąby została i to przez niewielką liczbę czytelników. W drugim razie zbyt krótkie powiastki, nie obudzą wielkiéj ciekawości, nie przywiążą do książki, bo brak w nich będzie owéj właśnie żywéj formy powieściowéj, trafnego rozwinięcia charakterów, scen i zwyczajów ludowych, których konkurs domaga się.

W obu zatem razach, książka choćby wszystkim warunkom odpowiedziała, zdaje mi się że stałaby się tylko pamiątką szlachetnéj myśli zacnego Obywatela ale nie książką praktyczną do któréj lud rzuciłby się z zapałem. Jak zaś mało ocenioną została trudność spełnienia zadania konkursowego, najlepiéj dowodzi zastrzeżenie, że wymaga się od autora, nietylko dydagtycznego ładu i jasności, ale *i pewnego stopnia powieściarskich przymiotów.*

Tylko przymiotów i to do pewnego stopnia a nawet nie talentu? To za mało. Przymioty same nic tu nie zrobią. Książka tak napisana jak konkurs żąda, to w swoim rodzaju arcydzieło prawie tylko przez talent i to wielki talent mogące być przygotowane. Pisarz z przymiotami tylko powieściarskiemi, da rzecz i moralną i pouczającą, ale suchą, nudną, naciąganą, z dyalogami mniéj więcéj zręcznemi ale pozbawionemi prawdy i życia. Talent zaś prawdziwy jedynie zdoła tak ułożyć całą osnowę, że ta bawiąc, zaciekawiając, dotknie wszystkich tematów konkursu, i pięknością scen uczuciowych, przywiąże do tego co piękne i dobre, a grozą walki namiętności i upadku obudzi wstręt do wszystkiego co złe i poniżające. Czy jednak zdoła w sieć intrygi i tajemniczości powieściowéj wpleść traktaty dotyczące rolnictwa, ogrodnictwa, handlu, chorób bydła, ludzi i t. d. tego przesądzać nie mogę.

Zastanawiając się nad całą tą sprawą konkursową, w któréj niepraktyczność zadania starałem się wykazać, mimowoli nasuwa się pytanie, co téj niepraktyczności w pomyśle tak pięknym stało się głównym powodem?

Odpowiedź na to zbyt może śmiała, ale w kwestyi tak ważnéj, nie można się z nią ociągać. Mogę się mylić ale wygłosić ją powinienem, tak poczucie obowiązku nakazuje. Powiem więc, że głównym powodem tak niepraktycznego wymagania jest.. tylko jednostronna znajomość ludu wiejskiego.

Jakto! zawołają zapewne liczne głosy, my nie znamy dobrze ludu wiejskiego, my co w pośród niego ciągle jesteśmy, co żyjemy z nim, codziennie się o niego ocieramy, my byśmy go znać nie mieli dobrze?

Tak, panowie, nie znacie go. Znacie go powierzchownie ale nie z gruntu.

Żyć pomiedzy ludem, strawić wśród niego cały swój żywot, zastarzéć się z nim a nawet zgrzybiéć, miéć ciągle z nim stosunki jako pan, sędzia lub kapłan, to nie dosyć. Poznaje się wówczas dobrze tylko jego zewnętrzną niejako stronę, brutalną, szorstką, nieraz wstrętną nawet, gdy jako sługa pragnie pana otumanić, jako sąsiad wyzyskać, jako skarżący sprawę swą przedstawić jak najlepiéj, jako grzesznik pokazać się skruszonym. Patrzymy na niego, jak w zabawie upija się, kłóci, sprzeczа, bije, podryga w tańcu niezgrabnie, krzyczy jak wśród głuchych, śpiewa fałszywie, poci się, ślini, ściska i całuje, jak wszystko garnie do siebie a nie od siebie, jak goni za zyskiem, okpiwa, oszukuje, jak za dobre złém płaci i dobre łatwo zapomina, słowem jak się przedstawia w stosunku do całéj społeczności w któréj zwykle samolubstwo góruje nad wszystkiem. Jeżeli do tego dodamy ruchy ciężkie, mowę grubą, wyrażenia ordynarne, ubiór niezgrabny, czupryne potarganą, twarz brudną, rękę szorstką, i brak w obejściu wszelkiéj delikatności, wdzięku estetycznego, to będziemy miéć obraz ludu na zewnątrz się przedstawiający, z którym bliższe poznanie żadnéj prawie nie przedstawia trudności. Tak go znamy wszyscy, ale to nie jest znajomość to dopiero pozór znajomości. W stosunkach z nami i w różnych okolicznościach powszedniego życia, lud tu nie jest sam sobą, ale rozstrojony, gniewny, zawstydzony, nieśmiały, niepewny siebie, występujący więc jednostronnie, połowicznie niejako i to w warunkach dla niego najniekorzystniejszych. Chcąc go poznać jako człowieka, trzeba z nim nietylko żyć ale wżyć się w niego, wczytać w tajemnicze kartki jego serca i duszy, gdy myśli i działa swobodnie jako mąż, ojciec, gospodarz i obywatel, gdy radzi z równymi sobie, rozumuje, zastanawia się, krytykuje a nawet filozofuje.

We wszystkiem tem objawia się wiele błędów, wiele spaczonych wyobrażeń, upór, przesąd, głupota, ale ileż obok tego napotyka się zacności, szlachetności, naiwnéj prostoty, ileż dobrego, pięknego, ileż zarodków poczucia prawdziwéj godności ludzkiéj.

Poznanie takie we wnętrzu jego ducha niełatwe: potrzeba tu wielkiéj miłości bratniéj, uznania w nim człowieka ze wszystkiemi cnotami i namiętnościami nam właściwemi, a przede wszystkiem pokory, owego przekonania żeśmy wszyscy jednego pnia latorośle, pracownicy w jednéj winnicy Pańskiéj, i że nabytki nasze cywilizacyjne nie są znów tak wielkiéj

potęgi, aby nawet przez działanie z pokolenia na pokolenie, miały przeinaczyć naszą naturę zostawiając lud przy niższéj o wiele od naszéj podlejszéj. Do poznania takiego potrzeba lat długich i studyi nieprzerwanych, gdy obznajmienie się z ludem powierzchowne, ze stroną jego zewnętrzną, wyuczenie się nawet jego mowy, poznanie przesądów, guseł i zwyczajów, samem pożyciem z nim bez pracy przychodzi.

Narzekamy na sąsiadów naszych Niemców, że nas tak zawsze niekorzystnie sądzą, że przedstawiają w barwie niezmiernie niepochlebnéj, odmawiając wszelkich cnót i przymiotów zarówno domowych jak obywatelskich, a nawet nieprzypuszczających aby w pośród nas geniusze mogły się zjawiać i dlatego zawsze wyszukujących w nich skwapliwie dowodów pochodzenia niemieckiego. Nie jest to wypływem jakiejś niechęci wyrosłéj bez żadnéj przyczyny, ale prostem następstwem znania nas także tylko powierzchownie, z zewnętznéj strony, tak jak się oczom przedstawialiśmy. Patrzyli na naszą próżność w wycieczkach zagranicznych, na naszą butę i nieoględność, na nasze gospodarstwo rolne, brak przemysłu, fabryk, zdolnych rzemieślników, przedsiębierców, finansistów, na nasze wioski obdarte, na lud zaniedbany, na brak ładu, porządku, zabiegu, na naszą biedę a nawet nędzę, słowem na wszystko co ujemnie nas przedstawia, cóż dziwnego że w porównaniu ze swoim stanem, tak nas nisko postawili we własnem przekonaniu? Gdyby lepiéj obznajmieni z historyą, wżyli się w nas, wczytali w karty naszego serca i ducha, jak to,względem ludu radzimy, usprawiedliliby z wielu zarzutów i zrozumieli że to tylko zewnętrzna strona, powierzchowna, najałwiéj bijąca w oczy, że nie jest wszystko tak złem jak im się zdaje, że mamy całe warstwy społeczne godne najwyższego szacunku, że wszyscy posiadamy obok wad przymioty ogólnie ludzkie i nam właściwe, któremi słusznie pochlubić się możemy. Do przekonań podobnych przychodzi wielu niemców w pośród nas osiadłych, nie wszyscy co prawda ale w znacznéj liczbie, jedynie tylko z gruntownego nas poznania, dlaczegóżby i wszyscy nie mieli zmienić zdania, gdyby się więcéj w nasze życie wtajemniczyli? Wprawdzie o ile można prostujemy ich mniemania, tłomaczymy się, objaśniami, i potroszku zyskujemu już uznanie, ale ileż to lat ciągnie się ta walka zanim wyłom dotąd jeszcze mały w tem uprzedzeniu został zrobiony.

Podobne uprzedzenie mamy co do ludu wiejskiego: wykorzenienie go niezmiernie trudne, wiekami wzrosłe pracą tylko długich lat usunięte być może. Nie zaniedbujemy jéj, mimo tego przeważa przekonanie, że lud to jakaś bezmyślna niższa od nas istota, stworzona do pracy jak wół do jarzma, niemająca o niczem wyobrażenia, ani zdania, ani sądu, ani świadomości co złe a co dobre, tylko posiadająca żądze, namiętności, popędy i bucie zwierzęce. Fałszywe to niezmiernie przekonanie i bardzo szkodliwe dla rozwoju społecznego.

Prawda że lud jest ciemny, nieposiadający żadnego wykształcenia naukowego, ale nie idzie za tem aby nie umiał myśléć, rozważać, zastanawiać się i tworzyć o wszystkiem właściwych sobie wyobrażeń. Z działalności takiéj myśli wytworzyły się rozliczne nauki, nauka daje jéj hart, giętkość, jasność i coraz większe zbliżenie się do prawdy, ale władzy myślenia i zastanawiania się nie tworzy, bo człowiek uprzedził naukę.

Lud władzę tę posiada ale w użyciu jéj nie pośpiesza tak szparko jak to się dzieje między nami. Patrząc na błogie wpływy nauki, korzystając z jéj dobrodziejstw w zastosowaniu, mimowoli w myśli swojéj postępuje, wysnuwa nowe pojęcia i wyobrażenia, ale zawsze pozostaje za nami w tyle i dlatego słusznie nazywamy go zacofanym. W tem wyrabianiu się samoistnem, w karmieniu się strzępkami spadającéj na niego cywilizacyi, w tem luźnem, bezładnem chwytaniu tego co podpatrzy i podsłucha, nie ma często ani ładu ani składu, ale koniec końcem, z myślą swą nie stoi w miejscu, posuwa się, postępuje czyli cywilizuje na sposób sobie właściwy, według ubogich środków jakie mu posługują. Ztąd wypływa w nim mnóstwo fałszywych pojęć, wiele uprzedzeń, tak nieharmonizujących z naszem widzeniem rzeczy i taka odrębność stanowiska jakie zajmuje. W każdym razie pojęcia te i uprzedzenia są wyrobem długo działającéj myśli całemi pokoleniami, a jeżeli między nami fałszywość pojęć, niesprawiedliwość uprzedzeń, tak trudno sprostować nawet w pojedyńczéj jednostce, cóż dopiero w całéj masie ludu, przywiązującego się równie uporczywie do tego, do czego sam doszedł i uznał za prawdę?

Kto inaczéj sądzi, komu zdaje się że jednym wyrozumowanym traktatem, czy to w kształcie jednéj powieści, wielu powiastek lub téż gawędy, obejmującéj wszystko co byśmy pragnęli w lud nasz wpoić, zdoła te fałszywe sądy i uprzedzenia sprostować, ten się bardzo myli. Przeobrażenia takie odbywają się niezmiernie wolno, jak w roli którą ze stanu dzikości chcemy przyprowadzić do wyższéj kultury, aby w niéj kłosy ziarniste przeważyły chwasty. Gospodarz pragnący odrazu to spełnić i nie żałujący nakładów, zwykle naraża się na straty i zawód. Ogłoszony konkurs po części naśladuje takiego gospodarza, i domaga się książki któraby wszystko wypowiedziała z czem pragnie lud oswoić, będąc pewnym że to jest najpewniejsza droga do podniesienia go z poziomu na jakim się obecnie znajduje. Przygotowanie jéj i wydanie jeżeli kiedy nastąpi w warunkach przez konkurs ułożonych, nie będzie bez pewnéj korzyści ale bardzo dalekiéj od téj jaką sobie obiecuje. Encyklopedye, bo ją za taką koniecznie uważać należy, zjawiają się w społecznościach dopiero zostających w pewnem już rozwoju naukowym, wyrobionych czytaniem i poważniéj myślących. Do naszych niedawnośmy przyszli a rolnicza dopiero przed kilkoma tygodniami ukończoną została. Wprawdzie książka przez konkurs ogłoszona, nie jest w ścisłem znaczeniu encyklopedyą, ale względnie uważana do ludu, nazmiano takie zasługuje. Jest więc przedwczesną, lud do jéj przyjęcia nie jest jeszcze przygotowany, a chcąc go do tego usposobić, trzeba przedewszystkiem rozbudzić w nim chęć do czytania, przywiązać do niego, żeby załaknął nietylko z książki zabawy ale i nauki. Gdy to się stanie, rozpoczęte dzieło oświaty już pójdzie daléj własnym pędem i nie zatrzyma się na żadnéj przeszkodzie choćby góry na górach stawiano, aby stłumić światło do ciemności się przedzierające.

To rozbudzenie chęci do czytania, jak dziś głównem naszem powinno być zadaniem, dlatego rzuconą myśl przez p. Jeleńskiego, wydawania małych książeczek kilkogroszowych, bardzo trafia do mego przekonania. Popieram ją całem sercem i daj Boże aby jak najprędzéj weszła w wykonanie. Jaka zaś ma być ich treść według mego przekonania i jak powinny być pisane, to starać się będę w następnym artykule przedstawić. Podobno, jak zawiadomił Kuryer Warszawski, zebrało się jakieś grono zacnych ludzi, którzy myśl p. Jeleńskiego pragną w czyn wprowadzić. Jeżeli tak jest rzeczywiście, niechże nie zostanę pominięty, zdam się może na coś w sprawie tak wielkiéj doniosłości. Usiłowania kilku może wiele zrobić, ale im większa ich liczba, tym działanie szybsze, skuteczniejsze i szerszem zataczające się promieniem.

Wracając się wreszcie w zakończeniu do samego konkursu, jeżeli, jak powiada Kuryer Codzienny, nie w nim zmienione być nie może, czyby nie można warunki jego ograniczyć do saméj części religijnéj i moralnéj, która w formę powieściową da się łatwiéj ująć, a część naukową i informacyjną zostawić na późniéj? Będzie to zadanie zawsze trudne ale praktyczniejsze tak pod względem napisania podobnego dzieła jak i jego obszerności, co nie małéj jest wagi.

J. K. Gregorowicz.

W nocy jesiennéj.

W głuchéj nocy jesiennéj, gdy w bladym pomroku,
Wszystko po dziennym gwarze milknie i martwieje,
Miotany burzą uczuć, w dumań mych natłoku,
Rozważam i oceniam mego ducha dzieje.
Rozwijał się i kwitnął duch mój w wiośnie życia,
W harmonii pieśniowéj rozlewał się cały;
Fantastyczne rojenia, czarodziejskie śnicia
Tworzyły mu rozwiewne nikłe ideały.
Tak kwiat wzdycha ku słońcu i tchnie w koło wonią,
Tak ptak wygłasza w pieśni swe wiosenne gody,
A gdy młode poczucia całkiem się wyronią,
Ginie wdzięk, cichnie piosnka i nastają chłody.
O naturo! urocze są twoje złudzenia!
Ty każesz kochać, śpiewać i walczyć dla bytu;
Potem, zastrzegłszy sobie prawo odrodzenia,
Zmuszasz wszystko umierać za chwilkę rozkwitu.
Takiem czuł, takem marzył w dni moich zaraniu,
Kiedy światła nadziei nie mroczyły chmury;
Ale w rozkoszy ziemskiéj i w ziemskiem kochaniu,
Widziałem same tylko złudzenie natury.
I poszły mi na marne owe ideały,
Którem kiedyś wymarzył i gonił za młodu;
Tylko z nich najświętszemi do dziś dnia zostały:
Wiara w Boga i miłość kraju i narodu.
Dziś już znikła mi wiosna, przeszło skwarne lato,
Przeżyłem cisze błogie i namiętne burze,
I oto, oświetlona księżyca poświatą,
Jesień blada w mem życiu i jesień w naturze.
Rolnicy zgromadzili tego lata plony
I śpieszą w domu spocząć po pracy znużeni;
A ja z próżnemi dłońmi, w dumach pogrążony,
Obliczam zyski mojéj nadeszłéj jesieni.
Wiatr żółte liście ściele na uwiędłéj trawie,
W górze słychać krzyk ostry, przenikliwy, głośny:
Widzę przez mgły jesienne—to lecą żórawie,
Gdzieś w zamorskiéj krainie szukać nowéj wiosny.
Na niebieskiéj przestrzeni błyszczą gwiazdy złote,
Patrzę na nie i w sercu budzi się otucha:
Tam ukoję me bóle i moją tęsknotę,
Tam będzie nowa wiosna dla mojego ducha.

Autor pamiątek z Litwy.

SYN PUSZCZY.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH
Fryderyka Halma.

Przełożony z niemieckiego
przez
Józefa Grajnerta.

(Dalszy ciąg).

Rolidor.

I to się zrobi, bo oto, po pierwsze
Będę od ojca twojego jak dotąd

Po dobrych cenach! kupował towary.

Partenja.

Po dobrych cenach! To znaczy, dla ciebie?

Polidor.

A potem jeszcze jedno uważ tylko.
I wbij to sobie w pamięć, dziewczę, widzisz,
Ja ciebie pojmę bez wiana. Bynajmniéj
Nie chcę posagu; jak stoisz, w czem chodzisz,
Bez drachmy wiana pojmę cię za żonę!

Partenia.

To wszystko zrobiłbyś dla ojca mego?
Wszystko! Istotnie!

Palidor.

Tak, to chyba wiele!
Niemal za wiele!

Partenia.

Tak, na wszystkie bogi,
To już za wiele! A zatem, dobranoc!
(chce odejść)

Polidor.

Zostań, odpowiedź musisz dać koniecznie!

Partenia.

Więc dam odpowiedź! Zważ to sobie dobrze!
Sprowadź dla dzieci swoich pedagoga,
Za cenę, jaką ci się tam spodoba;
Dla straży domu spraw zamki, zapory!
A gdy zasłabniesz, to jest tam na rogu
Zgarbiona w kuczki, co zioła sprzedaje,
Sam sobie ziółka gotuj; co zaś do mnie,
To wiedz, że żadne ziele tak nie kwitnie
Gorzko na ziemi, jak twój widok! Zważ więc
Moją odpowiedź i poprzestań na niéj!
(odchodzi do domu).

Polidor (przez chwilę patrząc się na nią zdumiony).

Cóż to? Czym dobrze słyszał? Mną pogardza?
Mną, Polidorem bogatym? Ta dziewka
Płatnerza gardzi mną, potomkiem bogów?
Nie chce mnie i wręcz, w oczy mi to mówi,
Jakbym ja ojca jéj był czeladnikiem,
I jeszcze szydzi: Nie ma tak gorzkiego
Ziela, jak moja postać! O, tak, ja ci
Gorzkim się stanę, i innym też jeszcze!
Niechże więc odtąd stary niedołęga
Tam na swą zgubę miecz kuje! Bo ja,
Ja i brzeszczota odeń już nie kupię;
Nabędę prawa jego wierzycieli
Na siebie, przed sąd go pozwę, i w końcu
Fora ze dwora! z miasta go wypędzą,
A z nim i hardą córkę! Ja to zrobię,
Tak, choćbym wydać miał ostatnią drachmę;
Nie spocznę aż go taka dola spotka.
(Podczas gdy wzruszony gwałtownie chodzi tam i napowrót, zjawia się w głębi sceny Lykon, rybak).

Lykon.

Prosto ulicą na dół, tak wskazali,
Potem róg omiń, i w prawo od zdroju
Pierwszy dom z brzegu! A więc to ten właśnie!
(Zbliża się do domu sąsiedniego z domem Mirona, i stuka do drzwi).
Hola! Jest tam kto? Otwierajcie żywo!
O! lepiéj zgłuchnąć na takie pukanie,
Bo tu nieszczęście kołacze; lecz w końcu
Trudno skryć prawdę...
(stuka znowu).

Polidor (stojąc z przodu sceny na lewo, do siebie).

Ha, co chce ten człowiek?

Teana (otwierając drzwi domu).

Co to za hałas? Kto stuka?

Lykon.

Wyjdź tutaj!

Teana.

Cóż to?

Lykon.

Tyś żona Mirona, płatnerza?

Teana.

Nie, mój mąż umarł dawno!

Lykon.

Dziękuj bogom,
Bo lepsza już śmierć, niż ciężka niewola.

Teana.

Co, jakto? Czyżby Miron...

Lykon.

Jest w niewoli,
Tektosagowie dzicy go porwali!

Polidor (do siebie).

W niewoli! Toż mi dopiero na rękę.

Teana.

Miron porwany w niewolę.

Lykon.

Niestety!
Na własnem oczy widział.

Teana.

Wieczne bogi!
Miron, lecz oto jego przyjaciele.
(do Adrasta, Elpenora, którzy przechodzą przez scenę w głębi)
Hola! Andraście, Elpenorze! Pójdźcie!
Ten człek wieść przyniósł, że Miron w niewoli,
Że go porwały dzikie Tektosagi!

Adrast.

Co? czy być może!

Elpenor.

Mów, jak to się stało!

Lykon.

W bliskości morza obrabiałem właśnie
Drągi żaglowe do mojego statku,
Wtem idzie drogą człek jakiś z ciężarem;
Mnie krzak zakrywał, a on na strzał łuku
Ode mnie, we mchu legł odpocząć; nagle
W gąszczach zawrzało, i jak wilków wycie
Rozległ się w koło okrzyk Tektosagów.

Polidor (na str.).

Bogowie zemsty! dobrzeście zrobili.

Aktea (zjawiwszy się że służącą na progu swego domu i schodząc ze schodków).

Znów roztrzepana, kądziel swym zwyczajem
Pozostawiła! Zanieś ją do domu!

Lykon (do Teany, Andrasta i Elpenora).

Mnie krzak zakrywał, lecz owego starca
Dostrzegli, wszystko mu też zrabowali!

Aktea (do służącéj, która bierze kądziel).

I koszyk zabierz.
(Służąca odchodzi z koszykiem i kądzielą do domu).

Lykon.

Potem go pytali,
Co on za jeden, a gdy się wygadał,
Że jest płatnerzem, z radosnym okrzykiem
Witali zdobycz: Daléj, pójdziesz z nami!
I pędzą starca, a wiatr mu żałośnie
Włos siwy szarpał; zaraz go też w drodze
Mocno związali.

Aktea (która tymczasem idąc za służącą do domu po schodkach, zatrzymuje się nagle na progu).

Wiatr targał włos siwy?
Płatnerz, związany, popędzony w bory,
Co to za płatnerz?
(schodząc ze schodków).
Raz przecie, powiedźcież,
Któż to był taki?

Lykon (po chwili do obecnych którzy stoją ze spuszczonemi oczami).

Czy to Mironowa?

Aktea.

Czym żona jego, bogi! Czyżby Miron...
Nie, nie. Stoicież jak słupy? Powiedźcież:
Nie, to nie Miron. Mówcież!
(po chwili wykrzyknąwszy).
On, niestety!

Andrast.

Mdleje.

Elpenor.

Upada!

Teana (podtrzymując upadającą).

Na pomoc, ratujcie!

Polidor (do siebie).

Ta ma za swoje! Więc koléj na córkę!

Amyntas (który z innymi mężczyznami i kobietami na krzyk Teany nadbiega).

Co to, w niewoli Miron?

Teana.

Pójdźcież żwawo!
Pomóżcie zanieść nieszczęśliwą do dom!
(Teana i inne kobiety wnoszą do domu na wpół omdlałą Akteę).

Amynias.

I Tektosagi porwały go w bory?

Lykon.

Tak, Tektosagi, trzy niedziele temu,
Jak swym zwyczajem, z ojczystych gór swoich
Horda tych łotrów kudłatych wypadła,
Kraj pustoszyła, obrała podróżnych,
I drób i trzody zrabowała z pastwisk,
Ci to się właśnie natkli na Mirona.

Partenia (wypadając z domu i śpiesznie przybiegając do zebranéj około Lykona gruppy).

Gdzie jest ten człowiek, co taką wieść przyniósł?
To ty. Prawdaż to? Czy ty sam widziałeś?

Lykon.

Mimo mnie ledwo dziesięć przeszli kroków
Ci barbarzyńcy wyjący nad starcem.

Partenia.

I ty uszedłeś, a on?

Lykon.

Ja w zaroślach
Stałem sam, nie śmiąc z miejsca się poruszyć;
Dopiero gdy tłum całkiem już mnie minął,
Jąłem uciekać! Lecz mię stary zoczył,
I począł do mnie błagająco wołać:
Ja jestem Miron, z Miasta Massalii
Płatnerz! Na wszystkie bogi cię zaklinam,
Idź, powiedz w domu, by mię wykupili!
A jeden z hordy zaczął do mnie krzyczéć:
Tak, bież, bież, ktoby zechciał go wykupić,
Trzydzieści uncyi w srebrze nam zapłaci;
Ten człek wart tego! Ja pobiegłem daléj,
Oni w Sawenny Mirona pognali!

Partenia.

Pognany w jassyr! Nie. Precz, łzy tchórzliwe!
Wzroku mój, słońcem, duszo, bądź mi stalą!
Więc ku Sawennom pognali go, mówisz,
Pragną wykupu! Wprawdzie odłużony
Dom nasz i rola, lecz przyjaciół mamy,

Polidor (do siebie).

Lepsza gotówka.

Partenia.

Amyncie! Adraście!
Pomóżcie, wyście z nim wzrośli, dzielili
Zabawy dziecka i troski starości,
Wy go ocalicie, boście wy bogaci,
Boście wy dobrzy! Wy ludzie szlachetni,
Wy nam pożyczcie pieniędzy na okup!

Adrast.

Trzydzieści uncyi! Oby dały bogi,
Żebym mógł tyle uciułać dla dzieci.

Amyntas.

Cały majątek mój na morzu, możnaż

Wiatrom i falom ufać! Jam zaiste,
Człowiek ubogi!

Polidor (do siebie).

To mi przyjaciele!

Partenia.

Okażcież litość, żeby dla was bogi
Były litośne, by doznał ostoi
Twój okręt, by twe dzieci nie zaznały
Jarzma niewoli, trosk nędzy! Ratujcie,
Niech was jęk matki, prośba zmiękczy moja!

Adrast.

Przestań. Być może później, ale teraz
Nic na mnie nie licz, żadnéj nie mam rady!

Partenia.

O, wielkie bogi!

Amyntas.

Tak, dziś ciężkie czasy;
Każdego brzemię własnych trosk przygniata!

Partenia.

Więc marną bajką jest przyjaźń!

Głos Herolda

Ustąpcie
Obywatele, Timarch idzie!

Partenia.

Z wami
Skończyłam! Idźcie! Wszak Massylja czuwa;
Ta macierz dzieci swe obroni!

Herold (z białą laską wchodzi z głębi sceny lewą stroną).

Z drogi!
Wszak idzie Timarch!

Partenia (upadłszy do nóg Timarchowi, który postępuje za Heroldem w orszaku kilku Panów Rady).

Dopomóż, ratuj nas!

Herold (wywijając laską).

Nazad!

Timarch.

Daj pokój! Powiedz, dziewczę, jakiéj
Żądasz pomocy?

Partenia.

Ach, ratuj Mirona,
Mojego ojca, płatnerza, on w górach,
Tektosagowie porwali go z sobą,
Ocal go przeto z haniebnéj niewoli!

Timarch.

Żal mi człowieka tak zasłużonego,
Lecz go ocalić...

Partenia

Każ zatrąbić w surmy!
Obywatelom każ za miecze chwycić,
Wszak on je wszystkie tak hartownie ukuł,
Stal w nich szlachetna, brzeszczoty niezwodne,
Niech swego syna obroni Massalja,
Wyrwij łup z dzikiéj przemocy łupiezców,
Ocal go, powróć w drogie ojców progi!

Timarch.

To być nie może; opiera się temu
Stara ustawa z tych czasów, gdy ledwie
Massalja wzrosłszy, z ludy nadbrzeżnymi
Walczyć musiała o byt swój zbyt młody;
Więc uchwalono, by o pojedynczych
Troska, ogółu dobra nie psowała;
Zaczém roztropność kojarząc z odwagą
Massalja broni swych obywateli
Tylko o ile cień jéj murów sięga!
A że go Miron przekroczył, więc...

Partenia.

Łaski,
Niech łaska rządzi.

(powstając żwawo).

Nie, nie łaski, prawo,
Prawo mi wymierz! Azaliż Massalja
Nie krzepko stoi, jéj potężne ramie
Nie sięgaż daléj niż cienie jéj murów?
Niech zagrzmi siłą! Czyż mają być prawa
Gwałtem, więzami, nie bronią ochronną?
On tam, w niewoli, wyzwól go Timarchu!

Timarch

To być nie może! Kto usuwa kamień
Z budowli prawa, cały gmach przewali;
Zważ sama, pomódz ci nie mogę!

(odwraca się ku wyjściu).

Partenia (padając mu do nóg).

Zostań!
Litości!

Timarch.

Bogom litość przysługuje;
Na ziemi prawo mieszka, jam stróż prawa!
Odstąp!

Herold.

Ustąpcie z drogi Timarchowi!

(Timarch z orszakiem odchodzi w głąb sceny na prawo).

Partenia (wołając za nim).

Łaski!
Biada! Świat ogłuchł na niedolę moją!

(klęcząc zakrywa twarz rękami).

Polidor zacierając dłonie do siebie).

Pomódz nie mogę! Słodki całus za to
Twym złotym słowom nie mogę ci pomódz!

Elpenor.

Chyłkiem się wymknę! Na cóż jéj się przydam,
A te łzy szarpią mi cęgami serce!

(Odchodzi, rozmawiając z obecnymi, których część znaczna pociągnęła już za Timarchem).

Adrast.

Pójdź do mnie w gości, rybaku! Nagrodzę
Twoje poselstwo! Wy zaś, przyjaciele,
Pójdźcie w mym domu spokojnie rozważyć,
Co począć można w téj smutnéj potrzebie!

(Odchodzi z Amyntasem, Lykonem i innymi obecnymi na prawo w głębi sceny, tak że Partenia klęcząc na środku sceny z zasłoniętą twarzą, pozostaje sama z Polidorem.

Polidor (który na przeciwko domu Mirona, na schodach innego domu usiadł z założonemi na krzyż nogami).

Tak, tak odejdzie! Teraz kolej na mnie,
Tak jéj dogodzę, że aż popamięta!

Partenia (prostując głowę).

Wszyscy odeszli! Chronią się przede mną;
Nie ma ramiesia coby mię podparło!
Nieszczęście, widzę, samotną ma drogę!

(powstając szybko).

A jednak znajdę pomoc, znaleźć muszę!
Wszak ów Polidor...

Polidor.

Co, Polidor teraz?
Aj, czyś ty chora, że chcesz ziółek gorzkich
Jak postać jego?

Partenia (do siebie).

Wspierajcie mnie, bogi,
I duszę hardą stopcie mi w pokorze! (głośno).
Widzisz, ja w prochu padam u stóp twoich.

Polidor.

Aj, patrzcie, patrzcie, w prochu u stóp moich.

Partenia.

O, daruj, przebacz i wykup mi ojca!
Jak niewolnica do usług się twoich
Najmę.

Polidor.

Tak!

Partenia.

Będę ci domu i podwórza,
Mienia pilnować, starość pielęgnować
I strzedz twych dzieci.

Polidor.

No, no, patrzcie jeno!
Wszystko, istotnie, wszystkobyś pełniła?

Partenia.

To wszystko, więcéj jeszcze! Gdybyś spełnił
Rzecz jednę, gdybyś ojca mi wykupił!

Polidor (powstając).

Aj! Lecz trzydzieści, zda się, uncyi pragną;
Nie, nie! To nazbyt dużo! Jam ci człowiek,
Co lubi dobrych rad słuchać, więc pójdę
Za twoją radą, najprzód zgodzę sobie
Dla dzieci moich pedagoga, potem
Strzedz będę domu zamkiem, zaporami,
A gdy zasłabnę, to będę kupował
Ziółka na rogu tam od bab zgarbionych;
Tak się urządzę: ty zaś piękna panno,
Oswobódź ojca, jak tam będziesz mogła!
Zasłuż się dzikim jako niewolnica,
Rób, co chcesz, tylko o jedno cię proszę,
Różyczko w kolcach zostaw mnie w spokoju!

(do siebie).

Teraz jéj w głowę wbiłem sęk nielada!

(odchodzi na prawo w głębi sceny).

Partenia (która podczas słów ostatnich Polidora, powstawszy odeszła od niego).

Idź, idź i ciesz się tą myślą, że mnie już
Rozpacz zgnębiła, że twe urąganie
Szaleństwem złamie opuszczoną duszę,
O, tak nie będzie! Ludzie porzucili,
A za to bogi przystąpiły do mnie,
A ich natchnienia pierś mi przepełniły
Taką odwagą, z którą świat zwyciężę,
Taką odwagą, co pewna swéj siły
W zapędzie celów najdalszych dosięże.
O, głupcze, coś mię przyszedł kłuć w boleści,
Przez ciebie wola bogów mówi święta;
Tyś mi szlak zbawczy wskazał wśród ciemności,
Tyś mię nauczył zerwać ojcu pęta!
Daléj więc w drogę! Noc ciemna już spada;
Niech sen do łoża świat cały układa,
Ty idź, Partenio! Twój dzień się zaczyna!
Lecz biedna matka.

Teana (która w czasie ostatnich słów Partenii wyszła z domu).

Przecież złe minęło;
Leży tam cicho, zdaje się, że zwolna
Skroń jéj znużoną sen krzepiący tuli.

Partenia.

Oby jéj duszę w zmierzchu długo trzymał!

Teana.

Idźże już do dom przyrządzić jéj napój
Z rumianku albo kwiatu lipowego!

Partenia.

Znam ja mocniejsze ziele, idę po nie!

Teana.

Teraz? Po nocy.

Partenia (z ręką na sercu).

Tu jasno widno!

Teana.

Jakto, i sama?

Partenia.

Bogi będą ze mną!

Teana,

Teraz ziół szukać! Tyś straciła zmysły!
Nie pójdziesz, mówię.

Partenia.

Ty czuwaj przy matce;
Mnie duszny popęd coprędzéj iść każe!
A gdy to prawda, com przejrzała duszą,
Spełnić się prędko me nadzieje muszą,
By wszystko zyskać, na wszystko się ważę.

Teana.

Dokąd, co to jest, zostań, Partenio!

(Gdy pośpiesza za Partenią, zasłona spada).

(d. c. n.)

Korespondencya z Niemiec.

Wystawa przemysłowa w Berlinie. — „Kommers“ pożegnalny na cześć ks. Wilhelma, syna następcy tronu niemieckiego.—Sedan.—„Przesądy ludzkości“ przez L. B. Hellenbach'a.—„Uderzenie pięścią“ dramat Auzengruber'a.—Gildenstern i Rosenkranz Michała Klapp —„Sodoma i Gomorra“ Franciszka von Schöntan.—Dziesięć lat polityki austryackiéj, p. Friedman'a.—Pic-pocket wielko-światowy.

Wystawomania tak weszła w krew czy w obyczaje tegoczesnych społeczeństw, że prawie niepodobna napisać korrespondencyi, nie wspomniawszy o jakiejś. W Niemczech znaczniejszych było trzy otwartych prawie jednocześnie. Wystawa sztuk pięknych w Monachium, Wystawa *adressów* i podarunków nadesłanych cesarskiéj parze austryackiéj z okoliczności srebrnego wesela, i Wystawa przemysłowa w Berlinie, niby zadośćuczynienie za nieprzyjęcie udziału w Wystawie powszechnéj paryzkiéj. O dwóch pierwszych pisały wam już gazety, wspomnę więc tylko o berlińskiéj. Wszystkich działów niepodobna potrącić nawet w szczupłych ramach korrespondencyi, zdam więc sprawę tylko z tych, przed którymi nie znawcy i przemysłowcy, ale piękny świat najtłumniej się gromadził.

Oddział przeznaczony na wyroby złotnicze i jubilerskie, literalnie olśniewał wzrok przyglądających się tłumów. Były tam tak przepyszne, tak misternie wyrobione naszyjniki i łańcuchy, jakich nie zobaczy nawet na piersiach osób malowanych przez Holbeina lub Alberta Dürer'a. Nie wiedzieć coby tu więcéj podziwiać należało, czy bogactwo ozdób i wyrobu, czy wytworny smak z jakim jest przedstawione i ułożone. Niepodobna sobie wyobrazić piękniejszego wyrobu sztuki złotniczéj, jak wystawiony tu serwis stołowy, ofiarowany wielkiéj księżnéj Alexandrynie Meklemberg-Szweryńskiéj z okoliczności pięćdziesiątletniej rocznicy jéj urodzin. Jest to podarunek od szlachty księztwa. Na czterech rogach postumentu stoi czterech uzbrojonych rycerzy, a w górze unosi się czterech geniuszów, trzymających w ręku wieńce brilantowe. Po nad kolumną wspaniała czara ozdobiona prześliczną wypukłorzeźbą. Po całéj téj prześlicznéj zastawie rozrzucone są tu i owdzie medaliony przedstawiające osoby należące do rodziny wielko-książęcéj, przez co drogocenny ten serwis stanowić będzie nader miłą pamiątkę rodzinną. W tymże oddziale podziwiano jeszcze diadem brylantowy dziedzicznéj księżnéj Oldenburgskiéj, który otrzymała w darze od cesarza niemieckiego.

Zwracał także powszechną uwagę tak rozwinięty dziś wyrób koronkowych papierów, używanych do ozdoby i na spód bukietów. Katalogi rozmaitych wzorów złożone przez niektóre fabryki, tworzą ogromne tomy in folio. Są papierowe spody do bukietów których gros cały (12 tuzinów) kosztuje tylko 2 marki, ale są i po 180 marek tuzin, zatem sztuka wypada 15 marek, więc według obecnego kursu, wyniosie 7 rs. sztuka. Najczęściéj papier kosztuje daleko więcej niż kwiaty które otacza. Za cenę takiego papieru możnaby nabyć prawdziwą koronkę, ale przyznać trzeba że delikatnością i pięknością przewyższa on najdroższe koronki *malines* lub *points d'Alençon*. A wszystko to jest wyrób maszynowy.

Podam tu fakt charakteryzujący obyczaje niemieckie. Starszy syn następcy tronu, młody książę Wilhelm, opuścił uniwersytet w Bonn, w którym kończył nauki. Towarzysze jego, studenci różnych wydziałów uniwersytetu, urządzili na cześć jego wielką uroczystość pożegnalną, tak zwany „kommers“ i wyznaczyli deputacyą mającą odprowadzić go do poblizkiéj stacyi. Kommers odbył się nader świetnie. Pochód przeszedł przystrojone chorągwiami ulice miasta, poczem wszyscy udali się do wielkiéj piwiarni, w któréj sali spełniono piwem pożegnalne toasty. Tam książę Wilhelm wyraził towarzyszom radość jaką przejmowały go te demonstracye na cześć jego urządzone i chwalił ducha jedności i solidarności łączącego studentów, ducha tak czysto niemieckiego, którego będąc na uniwersytecie poznał i nauczył się cenić. Daléj „rector magnificus“ wniósł toast na cześć księcia oznajmiając że był zawsze wzorowym uczniem „praesidium et dulce decus“ i że jest godnym przedstawicielem téj rassy królewskiéj, która odznaczała się zawsze głębokiem zamiłowaniem nauki.

Czyż taki „kommers“ nie przypomina dawnych patryarchalnych czasów?...

Ludność niemiecka, przekonywająca się że wojna francuzko-pruska, powiększyła tylko jéj ciężary, bardzo jakoś ostygła w zapale obchodzenia uroczyście bitwy pod Sedanem. W wielu miejscowościach to nowe święto narodowe tak było obchodzone, iż prawdopodobnie w roku przyszłym już się nie ponowi. Rada municypalna Herbornu (prowincya nadreńska) podała petycyą opatrzoną bardzo licznemi podpisami, domagająca się zniesienia tej niby narodowéj uroczystości. Zdaje się że wiele innych pójdzie za tym przykładem.

Dawno nie zdarzyło nam się czytać nic podobego, jak nowo wydane w Wiedniu dzieło p. Łazarza Hellenbach, p. n. *Przesądy ludzkości.* (Der Vorurtheile der Menschheit, von Lazar Hellenbach, 1879) Dzieło to można uważać za doskonałą próbkę filozofii społecznéj, cieszącéj się od lat kilku wielkiem w Niemczech powodzeniem i uznaniem. Autor założył sobie wykazać że świat ten nic a nic nie wart, że społeczeństwo na złe wstępuje drogi, ponieważ trzyma się fałszywych zasad i powoduje się próżnemi przesądami. I tak dowodzi że w wielu razach wolność jest najzłudniejszym przesądem, oraz że gdyby rząd był rozumny dośćby mu było wydać parę postanowień, aby wszystko jak najlepiéj szło na świecie!

(*d. c. n.*)

Korespondencya ze Lwowa.

Lwów w listopadzie 1879.

Za dar, słusznie królewskim nazwany, za ofiarowanie Krakowowi a właściwie krajowi arcydzieła *Pochodnie Nerona*, otrzymał Henryk Siemiradzki jeszcze przed powrotem do Rzymu z uroczystości krakowskich, tyle wzruszających dowodów wdzięczności całego kraju, że nawet kto inny mniéj skromny od niego uważałby się za wynagrodzonego nad zasługę. Lwów chcąc być pierwszym w złożeniu hołdu i wyrazów wdzięczności, zaprosił Siemiradzkiego przez osobną do Krakowa wysłaną deputacyą i przygotował się na przyjęcie znakomitego gościa tak, jak na to stosunki pozwalały i o ile to możliwem w ciągu kilku dni. Oprócz szczerych chęci zapraszających wszystko zresztą niedopisało w przygotowaniach do wspaniałego przyjęcia. Najpierw bowiem artysta odprowadzając Kraszewskiego do Wiednia, gdzie razem z nim przedstawił się cesarzowi, przeziębił się w drodze i przebył silne zapalenie gardła. Za pomocą chemicznych środków lekarskich i dzięki niezłomnéj woli, mógł wyjechać z Wiednia w oznaczonym terminie. Od Krakowa do Lwowa podróż Siemiradzkiego była jednym szeregiem takich owacyi, jakie wyprawia się zwykle tylko wielkim dostojnikom z tą różnicą, że wszystko to było szczerym wyrazem żywych uczuć a nie ofiarą dla etykiety. W Krakowie koléj żelazna pierwsza uczciła artystę po swojemu wyznaczając dlań osobny wagon salonowy, o co nikt nie prosił; co z tego powodu sprawiło przyjemną sensacyą. Generalny dyrektor téj kolei, jakkolwiek Niemiec w Wiedniu stale mieszkający (dr. Sochor) dowiódł tem, że uzyskawszy w ostatnich wyborach do Rady państwa mandat z Jerozolimy galicyjskiéj, z Brodów, poczuwa się odtąd do większej solidarności z krajem. Była to w każdym razie niespodzianka miła i jeżeli jéj autorowi chodziło nietylko o wygodę i dystynkcyą dla Siemiradzkiego lecz także o własną korzyść t. j. zjednanie sobie sympatyi, to ten cel osiągnął niezawodnie. Na każdéj stacyi kolejowej za Krakowem, spotykał się Siemiradzki z serdecznemi owacyami publiczności a deputacye gmin miejskich z burmistrzami na czele, nadawały owacyom cechę solenną. W Przemyślu grono dam zaprosiło Siemiradzkiego na herbatę a chociaż podano ją na dworcu i z pośpiechem, ze względu na krótki spoczynek lokomotywy, mimo to przyjęcie było serdeczne, i tak się udało, że artysta był rozrzewniony. Wszystkie te demonstracye zabrały tyle czasu, że pociąg spóźnił się o pół godziny. Na dworcu lwowskim czekały nań tłumy publiczności a nadto prezydent miasta z deputacyą rady miejskiéj. Pierwotnie zamierzono odprowadzić Siemiradzkiego z dworca do hotelu z pochodniami, ale deszcz udaremnił ten zamiar! bo z lwowskiego dworca do miasta wiedzie ćwierćmilowa droga niebrukowana, a więc w porze słotnéj trudna do przebycia z powodu błota. Za to w mieście pochód wypadł wspaniale, deszcz przestał padać i orszak mógł stanąć w wielkim komplecie. Nazajutrz po przybyciu Siemiradzki zwiedzał różne instytucye, składał wizyty i przyjmował rewizyty, był na obiedzie danym na 300 osób w sali teatralnéj i wieczorem w teatrze. Program przyjęcia nie został wyczerpany z powodu, że prywatne stosunki zmusiły Siemiradzkiego skrócić swój pobyt we Lwowie i zaraz drugiego dnia wieczorem wyjechać wprost do Rzymu. W powrocie koléj żelazna przeznaczyła znowu dla naszego gościa wygodny wagon salonowy, który tym razem był pewnie dobrodziejstwem dla artysty, zmęczonego podróżą a jeszcze więcéj ciągłym ruchem we Lwowie. Z dwudniowego pobytu Siemiradzkiego we Lwowie pozostanie trwały upominek dla całego kraju. Jeszcze w Krakowie podniósł artysta myśl urządzenia peryodycznych wystaw dzieł sztuki polskiéj z premiami co pięć lat na przemian we Lwowie i Krakowie. We Lwowie bliżéj rozwinął swój pomysł i zaraz powstał komitet, który zająć się ma urzeczywistnieniem téj myśli. Zastrzegam sobie podanie o téj sprawie ważnéj bliższych szczegółów, gdy komitet ujmie projekt w formę wykonalnych wniosków i ułoży regulamin lub statut. Na wyjezdnem otrzymał Siemiradzki propozycyą z Wydziału krajowego, aby dla sali nowego gmachu sejmowego zrobił portret obecnego marszałka Luwika hr. Wodzickiego. Portrety poprzednich marszałków wyszły z pod pendzla Henryka Rodakowskiego i Jana Matejki.

Jubileusz Kraszewskiego zostawi po sobie wiele trwałych pamiątek, wielkiej wartości. Już to samo jest pocieszającym i wiele na przyszłość obiecującym symptomem, że cały kraj przyłączył się do uroczystości krakowskich. W Galicyi nie ma ani jednego znaczniejszego miasteczka, któreby równocześnie z Krakowem nie uczuło zasług Kraszewskie-

go. Rozmaicie odbyły się te obchody, ale wszędzie jedno uczucie i jedna myśl ożywiała wszystkich, wypełniała całą treść programu. Widok tych rozlicznych objawów hołdu, nietylko chlubne wystawia świadectwo krajowi wobec świata, lecz nadto wpływa zbawiennie na społeczeństwo. Nagroda za ciche zasługi przynosi zaszczyt społeczeństwu i dodaje otuchy tym, którzy wstępują w ślady zasłużonych ludzi nietylko do zasług na polu literackiem, lecz w ogóle w każdym kierunku i rodzaju pracy publicznej. W wielu miejscowościach skończyło się na samym obchodzie uroczystym. Utrwalono bowiem pamięć tej chwili fundacyami lub winny sposób zapewniający korzyść publiczną. W Krakowie powstanie, dzięki jubileuszowi, galerya obrazów, której zawiązek stanowi królewski dar Siemiradzkiego i dary kilkunastu innych artystów. Nadto posypały się tam hojnie ofiary na cele literackie artystyczne i na cele oświaty publicznej. Od kilkunastu już lat podnoszona i przytaczana sprawa wystawienia pomnika dla Mickiewicza ze składek publicznych dopiero dzięki jubileuszowi Kraszewskiego postąpiła tak znacznie naprzód, że można już liczyć na pewny i blizki skutek. Teatrz poznański zyskał wiele na jubileuszu, be nietylko zebrano ze składek znaczną kwotę lecz nadto dany został świeży a silny impuls do dalszego zbierania ofiar na ten cel piękny. O wielu innych upominkach jubileuszu dowiemy się później, gdy zebrane fundusze użyte zostaną na cele przeznaczone. Pogłosek wszystkich obiegających w téj mierze nie zapisuję, bo niejedna może opiera się na zmyśleniu albo na przesadzie.

Cała zagranica wzięła udział w obchodzie Jubileuszu Kraszewskiego. Gdyby kto zebrał wszystkie artykuły, które prasa zagraniczna poświęciła J. I. Kraszewskiemu i w ogóle literaturze polskiéj z powodu uroczystości krakowskiej, powstałaby z tego wcale obszerna książka. Można śmiało powiedzieć, że dotąd żadnym z pisarzy polskich niezajmowała się tak bardzo prassa zagraniczna jak J. I. Kraszewskim. Niemieckie artykuły odznaczały się większą znajomością rzeczy niż francuzkie a wszystkie współzawodniczyły z sobą w życzliwości dla jubilata. Największy organ peszteński powiedział, że w obec Kraszewskiego Maurycy Jokai jest bardzo zwyczajnym pisarzem, że co do płodności węgierski powieściopisarz nie może się mierzyć z polskim. Przytaczam ten przykład na dowód jednomyślności uznania i uwielbienia dlatego, że Węgrzy słyną najwięcej z zarozumiałości narodowej, że wszystko co węgierskie ma w oczach ich niedoścignioną wyższość. Musiała krakowska uroczystość bardzo zaimponować Węgrom, jeżeli pozwoliły organowi swojemu bezkarnie przyznać polskiemu pisarzowi wyższość nad węgierskim. W uznaniu i hołdzie dla zasług, tym razem nie zepsuły harmonii nawet pisma znane z swojej niechęci do wszystkiego, co słowiańskie a szczególnie polskie. Jeden z dzienników wiedeńskich najprzód w fejletonie a potem wstępnym artykule uznał zasługi Jubilata i podniósł głównie ten rys charakterystyczny, że w powieściach Jubilata Niemcy nie są przedstawieni jako pasożyty żyjące bez pracy cudzym kosztem, lecz jako żywioł postępowy i pracowity, który tylko współzawodnictwem w pracy nieszkodliwym uczynić można. O żadnym głosie prassy zagranicznej, który zasługiwał na uwagę, nie można powiedzieć, żeby zdradzał nieznajomość stosunków w takim stopniu, jak to powiedzieć można o większej części artykułów, poświęconych nam ostatniemi czasy z życzliwą nawet tendencyą. Jubileusz Kraszewskiego, który takie wszędzie sprawił wrażenie, musi znakomicie przyczynić się do tego, że zagranica większą zwróci uwagę na naszą literaturę, że więcéj niż dotąd rzeczy polskich zacznie sobie przyswajać. Byłby to jeden z najważniejszych skutków obchodu; byłaby to korzyść znakomita i tryumf zasłużony.

Dnia 13 października odbyło się doroczne uroczyste poświęcenie zakładu Ossolińskich. Chociaż ze wszystkich instytucyi, jakie posiadamy, zakład Ossolińskich jako najstarszy największą posiada sympatyą i powagę, mimo to udział publiczności bywa zawsze nieliczny. Dopóki kierunek polityczny nie miał takiéj jak dziś powagi nad innemi kierunkami życia publicznego, doroczne posiedzenia w zakładzie Ossolińskich odbywały się przy bardzo licznym udziale doborowéj, intelligentnéj publiczności. Dziś mimo kilkakrotnych upomnień prassy nawet młodzież akademicka nie bywa należycie reprezentowaną. Mimo to zasłużony zakład naukowy wzrasta ciągle dzięki nietylko dobremu zarządowi lecz także pamięci świata naukowego, i coraz rozleglejszym stosunkom z innemi, obcemi zakładami naukowemi. Dowodem tego wzrostu jest tegoroczne sprawozdanie dyrekcyi; z którego wyjmujemy szczegóły dające wyobrażenie o stanie zakładu. W ubiegłym roku zarząd dokonał reorganizacyi czytelni, przeznaczonéj dla młodzieży, która zapełnia ją w godzinach wolnych od nauki. Zasilono tę czytelnię nowym zasobem dzieł beletrystyczno-literackich, szkolnych i naukowych. Dla publikacyi drobnych, które bez względu na skromne rozmiary mają pewną wartość historyczną, literacką lub bibliograficzną sporządzono osobne teki, przez co ułatwiono ich wyszukanie badaczom, potrzebującym tego materyału do prac naukowych. Do téj kategoryi publikacyi należą odezwy, wiersze ulotne, plakaty ważniejszéj treści i. t. d. W pierwszéj tece znajdują się publikacye tego rodzaju z przeszłego wieku, mianowicie mowy, proklamacye, uniwersały, pisemka polemiczne i t. d. w drugiéj tece znajdują się materyały także z pierwszéj połowy bieżącego stulecia ze szczególnem uwzględnieniem lat 1809 i 1848, trzecia teka zawiera materyały do trzeciéj ćwierci bieżącego stulecia (1850—1875) a czwarta dalszy okres począwszy od r. 1875.

W ciągu roku, z którego przedłożone zostało sprawozdanie, rozpoczęła dyrekcya druk katalogu rękopisów; nad którym dwa lata pracowano i dzieło „Spis nazw miejscowych polskich w Prusach zachodnich, wschodnich i na Pomorzu z dodaniem przezwisk niemieckich.“ Dziełem tem zakład Ossolińskich bardzo się zasłuży, gdyż systematycznie i zacięcie prowadzona germanizacya miejscowości w Prusach i na Pomorzu doprowadziła z biegiem czasu do tego, że dziś nawet w niejednym polskim dzienniku spotkać się można z niemiecką nazwą powtórzoną w najlepszéj wierze bez świadomości, że się tem aprobuje germanizacyjne dzieło. Tak samo postępują sobie dziś Prusacy w Poznańskiem, gdzie wiele nazw polskich albo zmieniono na całkiem niemieckie, albo przekręcone tak zręcznie, że choć zatrzymano pierwotny rdzeń polski, nikt tego nie spostrzeże, kto po raz pierwszy spotka się z tą nazwą. Wspomnione powyżéj dzieło zawdzięczamy sumiennéj i gorliwéj pracy samego dyrektora zakładu, zaszczytnie znanego w świecie naukowym dr. Wojciecha Kątrzyńskiego, który sam z Prus pochodzi, więc nietylko z archiwalnych źródeł lecz na miejscu u ludu mógł zebrać potrzebne, autentyczne daty.

Zakład Ossolińskich, mówi daléj sprawozdanie, nietylko utrzymywał dawniéj zawarte stosunki z instytucyami naukowemi kraju i zagranicy, lecz nadto zawiązywał nowe, jak np. z Akademią umiejętności i Towarzystwem królewskiem w Sztokholmie, dla odszukania rękopisów odnoszących się do historyi Skandynawii, z uniwersytetami: dorpackim, kijowskim i moskiewskim oraz z towarzystwami rosyjskiemi: miłośników, starodawnego piśmiennictwa rossyjskiego w Petersburgu i starodawnéj sztuki rossyjskiéj w Moskie, od których otrzymał w zamian cenne i wspaniałe wydawnictwa: niemniéj ze zbiorami książąt Czartoryskich w Krakowie, z których otrzymuje dla swych czytelników druki i manuskrypta.

Kuratorya ustanowiła nowe, ósme już z kolei stypendyum. Dary płynęły w tym roku obficiéj, niż w poprzednich, sam dar Ksawerego hr. Branickiego mieści sześćset dzieł. Jest to cała biblioteka dzieł publicystycznéj treści, nabytych po współpracowniku paryzkiego dziennika *Journal des Débats* p. Wyzińskim, który niedawno w przystępie melancholii życie sobie odebrał w Paryżu. Dzięki tym darom i zakupom inwentarz drukowanych unikatów doszedł do liczby 74,165, dubletów do 5,000, atlasów i map 1,074, rękopisów do 2,745, rycin do 22,512. Przybyło więc unikatów 1,880, dzieł do dubletów 508, rękopisów 168, rycin 681. Inne działy powiększyły się również mniéj lub więcéj. Ruch naukowy w Zakładzie był nadzwyczajnie ożywiony. W pracowni naukowéj wydano 1,994 czytelnikom 1,265 rękopisów, 5,979 dzieł, 13,204 tomów; o 474 osób, 555 rękopisów, 1,197 dzieł, 3,144 tomów więcéj, niż w poprzednim roku i w ogóle nierównie więcéj niż kiedykolwiek. W czytelni górnej dla uczącéj się młodzieży przez 185 dni było 10,857 czytających. Pozwolenie wypożyczania książek do domu otrzymało 223 osób, wypożyczono do domu 5,484 dzieł w 8,137 tomach, 1080 dzieł i 1,384 tomów więcéj, niż w roku poprzednim. Z pomiędzy rękopiśmiennych źródeł wypożyczono 79 manuskryptów, 26 autografów, 10 dokumentów. Muzeum zwiedziło równocześnie 2,465 osób, a więc 92 więcéj, niż w roku ubiegłym; studyowało w niem 330 a więc 92 więcéj, niż poprzednio. Muzeum otrzymało również wiele pięknych darów, wzbogaciło się gabinetem rycin. Dochody Zakładu wzrosły o 3,097 złr.

Na zakończenie posiedzenia nastąpił zajmujący i pięknie opracowany odczyt sekretarza zakładu p. Klemensa Kanteckiego, o wielkim podskarbim koronnym Ossolińskim.

Zakład Ossolińskich wzrasta tedy ciągle pod umiejętną dyrekcyą dr. Wojciecha Kętrzyńskiego, który nastąpił po zmarłym przed trzema laty p. Auguście Bielowskim. Dr. Kętrzyński ziścił oczekiwania, wypowiedziane w chwili jego nominacyi, godnie zastąpił znakomitego poprzednika swojego a więc wywiązał się z zadania bardzo trudnego.

B. Ł.

Przegląd literacki.

(Dokończenie).

Teraz przystępuje p. Pechnik do podania treści, poematu „Pan Tadeusz.“ Z tego zadania wywiązał się bardzo dobrze, tak, że lepiéj nie wywiązałby się z niego autor polski streszczający dla publiczności niemieckiéj opowieść ze wszystkiemi jéj wybitniejszemi i charakterystycznemi scenami. Niektóre sceny podaje autor wierszem, w przekładzie wiernym i bardzo starannym. Z tych ustępów można wnosić, że p. Pechnik wydając przekład całego poematu wyświadczy przysługę niemieckiej publiczno-

ści i polskiéj literaturze, że da Niemcom poznać polskie arcydzieło ze wszystkiemi jego zaletami.

W ostatnim rozdziale rozprawy autor porównywa poemat Goethego z Panem Tadeuszem i znajduje następujące wspólne znamiona. W obu poematach akcya zostaje w ścisłym związku z ważnemi wypadkami dziejowemi: indywidualne dobro zawisłem jest od ogólnego dobra: od losu jednostek interes czytelnika zwraca się ku losowi narodu a nawet ludzkości. Odpowiada to zupełnie istocie epicznéj poezyi, która obejmować powinna jak najszersze koło przedmiotów i nie wnika w tajniki ducha lecz kreśli obrazy narodów i czasów. W obu jednak dziełach wypadki historyczne nie tworzą właściwego przedmiotu opowiadania, lecz pozostają w głębi i wywierają tylko wpływ swój na przebieg całéj akcyi. Obaj poeci nie przedstawiają czynów całego narodu, lecz tylko wiążą dążności jednostek z takiemi czynami. Poemat Goethego nie ma tragicznego motywu w właściwéj akcyi. W Panu Tadeuszu motyw ten stanowi przeszłość Soplicy, który winę swą maże zaparciem się dumy, skruchą, pokutą i poświęceniem. P. Pechnikowi wydaje się jednak ten epizod z Soplicą niedostatecznym do nadania całemu poematowi charakteru heroicznéj epopei. Osią akcyi pozostaje miłosny stosunek Tadeusza, który jak nić czerwona snuje się przez cały poemat. Z tego powodu poematowi Mickiewicza nadaje p. Pechnik także nazwę idyllicznéj epopei. Tutaj jak się nam zdaje, autor nie jest dość szczerym, bo ze wszystkiego co w pierwszych rozdziałach pisał o cechach epopei w pełnem tego słowa znaczeniu mianowicie zaś z tego, co jego zdaniem nie pozwala téj nazwy nadać poematowi Goethego, zdawałoby się, że konkluzya wypadnie całkiem odmienna. Być może, że autor nie chciał wypowiedzieć wszystkiego, aby stawiając poemat polski nad arcydzieło niemieckie, nie zraził publiczności niemieckiéj dla zapowiedzianego przekładu swojego całéj epopei. W jednym ustępie p. Pechnik prawie wyraźnie przyznaje się do tego mówiąc: „Żeby poemat wznosił się na szczyt epopei, żeby go nie można stawiać na równi z wielu poetycznemi opowiadaniami powszechnéj literatury, tego nie możemy wykazać, gdyż daliśmy go poznać czytelnikom tylko z fragmentów, które jako pozbawione związku nie dają należytego wyobrażenia całości.“ A więc sąd wypadnie inaczéj, gdy autor stanie już z gotowym przekładem całości? Zaraz po powyżéj przytoczonych słowach zaznacza autor wyraźnie, że Pan Tadeusz, posiada te znamiona, od których w powyższym rozdziale zawisłym czynił charakter epopei.

W dalszem porównywaniu poematów Goethego i Mickiewicza zaznacza autor, że obaj poeci wytknęli szeroki zakres komicznemu żywiołowi. Ten sposób komiczny już sam dla siebie cenny, nabiera tu większego znaczenia z tego powodu, że stanowi, punkt wyjścia dla innych podniosłych porywów. Pan Tadeusz posiada więcéj żywioła komicznego niż poemat Goethego, co p. Pechnik nie zdaje się uważać za tytuł do wyższości, bo mniema, że poważny styl epopei nie znosi przewagi żywiołu komicznego. W całéj Iliadzie jeden tylko Thersites reprezentuje ten żywioł.

Kwestyi, który poemat wyżéj stoi, nie chce autor rozstrzygać już z tego powodu, że zazwyczaj kończy się na czczéj gadaninie, jeżeli się dwa prawdziwe dzieła sztuki porównywa ze sobą tylko w tym zamiarze, aby jedno postawić po nad drugie. I tu jednak autor zastrzega, że nie podał prawie całego przekładu, z czego także możnaby wnosić, że gdy to nastąpi, może będzie więcéj stanowczym na korzyść naszego poety.

Wspominając krótko o różnicach między obu poematami, mówi autor, że w poemacie Goethego większy interes wzbudzają uczucia Hermana i Doroty, gdy tymczasem polski poeta większy nacisk położył na poważne motywa i historyczne tło niż na uczucia bohatera i bohaterki. Nadto przyznaje autor poematowi Mickiewicza akcyą żywszą i bogatszą w charakterystyczne epizody oraz mistrzowstwo w obrazach natury.

„Odkładając, mówi w końcu p. Pechnik, to, coby jeszcze powiedzieć należało, aż do wydania zapowiedzianego całkowitego przekładu, kończymy życzeniem, aby to pismo utorowało drogę do przyswojenia niemieckiéj literaturze tego, w każdym razie pełnego wartości poematu.“

My kończymy życzeniem, aby przekład poematu wypadł tak wzorowo jak podane w książce ustępy, i aby rozprawa p, Pechnika była w niemieckiéj krytyce początkiem zdrowéj refleksyi i sprawiedliwości dla obcych arcydzieł. Jest to w każdym razie rzecz bardzo pocieszające dla nas, że pisarzom niemieckim, poniżającym nas przy każdéj sposobności, daje poważną odprawę taki pisarz jak p. Pechnik, który na jednéj kartce swéj rozprawy okazuje więcéj nauki, znajomości rzeczy i bystrości krytycznéj, aniżeli tamci w całych rozwlekłych rozprawach.

Dr. B. Ł.

Opis Ryciny Kolorowéj.

Ubranie negliżowe. Spódnica zakończona szeroką plisowaną falbanką, vêtement paletotowe ozdobione plisą aksamitną wyszytą w tamborku kolorowym jedwabiem.

Ubranie małéj dziewczynki. Sukienka princesse z jasnego djagonalu ma draperyą upiętą z bryta wziętego poprzecznie. Plisy, wykłady i kołnierz z pekinu; guziki z konchy perłowéj.

Ubranie domowe. Do spódnicy fałdowanéj z gładkiego kaszmiru, z tuniką u dołu otwartą, włożony jest stanik z długą baskiną, zapięty w pasie patką z dwoma guziczkami odrobiony z materyi w turecki deseń. Kołnierz szalowy, kamizelka i wykłady są z gładkiego pluszu, z którego dana plisa przy tunice. Krawat z koronki bretońskiéj.

Nowe wydawnictwa.

Hygiena wieku dziecinnego. O odstawianiu czyli odłączaniu dzieci od piersi podług Dr. Brocharda, streścił i dopełnił M. Bojanowski Lekarz powiatu Błońskiego. W broszurce téj po wstępie i określeniu Autor przedstawia: Wybitniejsze różnice mleka krowiego i kobiecego: związek odstawiania z zębowaniem: mówi daléj: o przygotowaniu do odstawienia, o zasadach odstawienia, o dyecie noworodka po odstawieniu i wreszcie o odstawieniu ze względu dla matki.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава, 30 Октабря 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20)

Dodatek.

KRZYŻ W MOUGUERRE.

PRZEZ

panią Klarę de Chandeneux

przekład

K.P.

(Dalszy ciąg).

Pani de Vambry obrażona tem nadmienieniem o majątku Maryi Anny, zamierzała już odpowiedzieć cierpko że syn jéj nie cenił tak bardzo pieniędzy aby mogły wpływać na jego postanowienia, gdy wtem Matylda wmieszała się zręcznie do rozmowy, zwróciła ją na inny przedmiot, a wkrótce wysłała męża do jego klubu, do czego uciekała się zwykle, gdy zbyt swą rubasznością niecierpliwić zaczynał.

Stefan chciał stanąć w Mouguerre dość jeszcze wcześnie, aby nie wykraczając przeciwko formom światowym mógł jeszcze złożyć uszanowanie paniom de Fouzolle. Gdy, dzięki szybkości Theodorosa, stanął na dziedzińcu zamkowym, okna salonu były jeszcze oświeltone. Zawiadomiona o jego przybyciu margrabina, i ucieszona tem więcéj niżby to przyznać chciała, kazała prosić go do salonu i przyjęła nader uprzejmie.

Marya Anna zarumieniła się, i zaledwie w kilka minut po przybyciu Stefana zapanowała nad swem wzruszeniem.

Trudno jéj było nie pomyśléć że Stefan głównie dla niéj przyjechał, i ten dowód jego troskliwości wydawał jéj się pierwszą oznaką możliwéj zmiany obecnego położenia.

Zwykle wszyscy młodzi ludzie których jéj przedstawiano, zobaczywszy ją raz, nie starali się wcale spotkać z nią powtórnie. Przyzwyczaiła się czytać w ich oczach, jeźli nie przestrach, to co najwięcéj zaledwie politowanie. A teraz, zdarzył się pretendent do jéj ręki, bo któraż panna nie odgadnie tego, widział ją, i pomimo to troszczył się o jéj zdrowie i widocznie poszukiwał jéj towarzystwa!... Jakże to było niespodziewanem a miłem dla niéj!

Pod wpływem tych uroczych myśli wyzwoliła się ze swéj zwykłéj nieśmiałości, znalazła rozrzewniające słowa i uśmiechy, i powiedziała że czuje się szczęśliwą w górach i wdzięczną tym którzy ją w nich odwiedzają. Stefan słuchał jej ze współczuciem, szukając wzrokiem po staroświeckim salonie, pięknego i zagadkowego zjawiska, które spodziewał się w nim zastać.

Marya Anna dostrzegła to i zrozumiała myśl jego, ale zamiast się tem zaniepokoić rzekła z zachwycającą naiwnością:

— Moja śliczna wieszczka gór, Gracioza, już odeszła. Szkoda!... byłaby sama powiedziała panu, że ponieważ jestem „dobra i posłuszna", przytaczam jéj własne słowa, sprobuje rozpocząć moją kuracyę, na sposób baskijski.

— Sprobuje! zawołał Stefan; wątpię aby dobroć serca dozwoliła jéj wahać się choćby tylko chwilkę.

— A jednak wahała się. Sądzę że się obawia aby ją znów z tego powodu nie nazwano „czarownicą:" chociaż to tak niewłaściwa nazwa dla istoty tak pięknéj i młodéj.

— Jednak byłoby bardzo pożądanem aby ją mogła usprawiedliwić, wracając pani prędko i na zawsze tak drogie dla wszystkich zdrowie.

Trzeba oddać Stefanowi tę sprawiedliwość, że wyrażając to życzenie wypowiedział to tylko co mu podyktowało szczere dla niéj współczucie. Ale Marya Anna była niem żywo wzruszona, jako najwyraźniejszem objawieniem życzliwości, i najczulszemi słowami jakie kiedykolwiek do niéj zwrócono.

Serce jéj, uśpione dotąd, zadrżało jakby rozbudzone pierwszem odezwaniem się młodości: spuściła oczy które zajaśniały na chwilę niezwykłym blaskiem. Stefan nie dostrzegł tego wcale i wywiązawszy się z obowiązku grzeczności względem Maryi Anny, zaczął znów rozmawiać z margrabiną.

Pan de Vambry nie długo bawił w Mouguerre, ale przybył tam tak późno, że kiedy wyjechał za bramę zamku, jedenasta wybiła na wieży kościelnéj.

Noc była wspaniała: srebrzyste światło, spokój, uroczysta cisza! Stefan uczuł się nagle jakby upojony tą samotnością wśród uśpionéj natury. Z najżywszą przyjemnością jechał wolno, noga za nogą, po téj malowniczéj drodze, gdzie miarowy odgłos kopyt jego konia, był jedynym objawem życia.

Wybrał drogę na Saint-Pierre, jako szerszą i więcej urozmaiconą, a ponieważ chcąc się do niéj dostać trzeba było przejechać około domku Graciozy, myśl jego przeniosła się ku téj która spoczywała pod skromnym jego dachem.

Ale nie, Gracioza nie spała jeszcze. Drzwi były uchylone ze zwykłą góralom ufnością, a na drodze do wsi, o jakie sto metrów przed sobą, spostrzegł Graciozę idącą gdzieś śpiesznie.

— Gdzie ona idzie tak późno? pomyślał pan de Vambry z zadziwieniem.

Mógł dowiedziéć się o tem jadąc za nią ciągle w równéj odległości, i nie omieszkał też tego uczynić.

Wioska była nie daleko: tam właśnie skierowała swe kroki. Stefan wyrzucał już sobie iż nie domyślił się od razu, że spieszy do kogoś chorego.

Przy drodze, na początku wsi, wznosił się kościół, a cmentarz znajdował się tuż przy nim. Gracioza weszła śmiało na schodki prowadzące do cmentarza. Lekki dreszcz przebiegł Stefana. Widział jak chodząc między grobami schylała się niekiedy jakby dla podniesienia czegoś, lub zerwania kwiatka.

Dziwna myśl zbierania bukietu o téj porze!

Cień padający od kościoła skrył ją nagle przed ciekawym wzrokiem Stefana.

Zwrócił oczy na poczerniałą fasadę starożytnego kościoła, na któréj trzy kamienne sfinxy podtrzymują głębokie zagłębienie, połyskujące dwoma ostro zakończonemi oknami.

Jak mógł, przejeżdżając przez wieś, nie zwrócić uwagi na ten zabytek odległéj przeszłości, około którego już przez tyle wieków tulą się groby Baskijczyków? Postanowił przyjechać tam w dzień obejrzéć kościół... i kto wie? może odkryć czego ta dziwna dziewczyna szukała w tem ponurem miejscu, o saméj północy.

Ta która tak silnie zajmowała jego wyobraźnię, ukazała się znów w miejscu oblanem światłem księżyca. Teraz mógł już wyraźnie widzieć że niosła kwiaty.

Przyszły mu mimowolnie na myśl przesądy górali o cudownych własnościach ziół zbieranych na grobach, podczas pełni księżyca, i smutny uśmiech przesunął się po jego ustach, na tak widoczny dowód, że ani piękność, ani wrodzona dystynkcya, ani szlachetność serca, nie zdołały ustrzedz téj tajemniczéj istoty od tak grubych zabobonów.

Gracioza wyszła nakoniec ze cmentarza, ale zamiast zawrócić się do domu, poszła śpiesznieszym jeszcze krokiem przez wieś, a następnie puściła się śmiało drogą przez pole.

— Widocznie, szepnął Stefan, „czarownica" dąży na sabat.

IX.

Nie sama tylko ciekawość, ale także jakaś nieprzeparta siła przyciągająca, zmuszała pana de Vambry iść w ślad za Graciozą Irribery. Byłby poszedł bez wahania gdziekolwiek zaprowadziłaby go za sobą ta dziwna istota, strzegąc się tylko aby jéj nie spłoszył swą obecnością.

Ponieważ zdawało mu się że raz obejrzała się za siebie, zaczął się obawiać czy nie dosłyszała że ktoś za nią jedzie, pomimo że wybierał miejsca zarosłe murawą. Zsiadł prędko z konia, podarł dużą jedwabną chustkę którą troskliwa matka kładła mu zwykle do kieszeni, obwinął nią kopyta Theodorosa i pojechał daléj, ucieszony romantycznością swéj wyprawy.

Droga już to wspinała się raptownie w górę, to znów nagle spuszczała na dół, wijąc się ciągle i często rozchodząc w różne strony, tak że Stefan obawiał się co chwila aby Gracioza nie znikła mu z oczu. Ona tymczasem szła ciągle przyśpieszonym, ale równym krokiem, nie objawiając najlżejszéj obawy ani znużenia. Jednak z całéj jéj postawy można było wnosić, że stopy jéj stąpały machinalnie po dobrze im znanéj drodze, bo myśl błądziła gdzieś w innéj stronie.

— O kim ona myśli? szepnął z westchnieniem Stefan.

Za nimi, daleko już, zegar na wieży w Mouguerre wydzwonił dwunastą.

Jednocześnie miał sposobność przekonać się że górale w tych stronach nie obawiają się ciemności nocnych, bo chłopczyk jakiś z czarnym kozłem szedł spokojnie pod górę. Stefan, którego uwaga zwrócona była na inny, silnie zajmujący go przedmiot, byłby może nie spostrzegł go wcale, gdyby chłopiec nie pozdrowił go życzeniem dobréj nocy, wypowiedzianem z wyrazem najżywszego zadziwienia.

Bo też rzeczywiście było to rzeczą niezwykłą spotkać na drodze, wśród nocy, kogoś jadącego na koniu mającym nogi poobwijane, dla zagłuszenia tententu. Elissalde, chłopiec z czarnym kozłem, nie mógł uwierzyć własnym oczom, i długo jeszcze po oddaleniu się tego dziwnego zjawiska, stał jak skamieniały na środku drogi.

Gracioza zwróciła się nakoniec na zieloną równi-

nę obok której odsłaniał się niespodziewanie widok małego jeziora. Przejrzysta jego powierzchnia oświecona srebrnem światłem księżyca, otoczona wieńcem drzew odwiecznych, posiadała jakiś wdzięk dziki a zarazem poetyczny, nęcący ku sobie oczy.

Nie wiem czy te śliczne jezioro posiada jakąś jeograficzną nazwę, ale wieśniacy pojący w niem swe trzody, i których skrapia pastwiska, nie nadali mu żadnéj. Śluzy nie dozwalają mu występować z brzegów, i rozprowadzają jego wody na okoliczne łąki i pastwiska, a tuż przy końcu jeziora, kryje się pod dębami malutki domek dozorcy śluz.

Chociaż ukrył się w gęstwinie, Stefan dostrzegł go natychmiast, bo go zdradziło światło błyszczące tam jeszcze pomimo tak spóźnionéj pory. Gracioza szła prosto do tego światełka, jakby posiadało jakąś siłę przyciągającą.

— Któż tam być może?... O! muszę dowiedzieć się tego! rzekł przygryzając usta.

Nie namyślając się długo, przywiązał Theodorosa do drzewa, obszedł piechotą jezioro pod zasłoną otaczających go krzaków. Odległość między nim i Graciozą zmniejszała się szybko, i kiedy ona pukała do domku dozorcy śluz, Stefan wchodził na kładkę.

Drzwi zamknęły się za nią natychmiast, ale całe okno było otwarte, dla utrzymania jak widać świeżego powietrza; Stefan zapuścił chciwie wzrok do wnętrza chaty.

Zobaczył dużą zadymioną izbę, jaką spotyka się zwykle w chatach baskijskich, z wielkim kominem zastawionym garnkami, przy nim dużą dębową skrzynię, a po drugiej stronie łóżko osłonięte ciemnemi firankami.

Przy kominie siedziała stara kobieta, której siwe włosy wymykały się z pod bawełnianéj chustki, na chudą i czarną szyję.

Na łóżku spał jakiś mężczyzna. Obudziło go widać skrzypnięcie drzwi, bo otworzył nagle oczy, oczy wielkie, szafirowe, ożywiające twarz bladą, a uśmiech szczęścia zaigrał na jego ustach i ukazał śliczne białe zęby.

Stara kobieta zbliżyła się, odrzuciła w tył jego jasne włosy, i otarła spocone czoło z czułością macierzyńską, któréj trudno się było domyśléć pod tak ostrą powierzchownością.

Gracioza przystąpiła bez wahania do łóżka, ujęła rękę którą chory wyciągnął do niéj, rękę zapewnie rozpaloną gorączką, bo widać było że liczy uderzenia pulsu. Następnie, jak osoba dobrze obznajmiona ze wszystkiem w domu, wyjęła ze skrzyni paczkę szarpi, słoik z jakąś maścią, trochę staréj bielizny, i zaczęła robić zwykłe przygotowania do opatrzenia rany, ze zręcznością wprawnego chirurga.

Stara kobieta uniosła grube prześcieradło zastępujące kołdrę i odwinęła rękę syna, na któréj ukazała się głęboka rana. Stefan poznał zaraz że nie można jéj było przypisać upadnięciu, ani też żadnemu innemu wypadkowi, lecz że to była bolesna i niebezpieczna rana, pochodząca od kuli.

Gracioza odważnie obmyła ranę, przyłożyła szarpie, obandażowała rękę, i położyła ją lekko na kołdrze.

Przez cały ten czas zaledwie kilka słów zamieniono z sobą w chacie i zawsze w języku baskijskim, niezrozumiałym dla Stefana.

Pomimo że powietrze było zupełnie ciepłe, suty ogień palił się na kominie, a ze stojącego na nim glinianego garnczka, buchała para. Gracioza zdjęła z niego pokrywkę, a widząc że woda już się gotuje, zanurzyła w niéj cały wonny i świeży bukiet, zebrany na cmentarzu. Po chwili odstawiła garnczek od ognia, przelała zawarty w nim wonny płyn do drugiego garnczka, przestudziła i podała choremu, który go wypił nie spuszczając z niéj wzroku. Uwielbienie, wdzięczność, może nawet coś więcéj jeszcze, ożywiało w téj chwili piękne jego oczy.

Czy Gracioza to spostrzegła, tego nie można było poznać z wyrazu jéj twarzy. Schowała wszystko na swoje miejsce, uśmiechnęła się do chorego, i żegnając go rzekła po francuzku:

— Do zobaczenia, Janie Bèrette; przyjdę tu jutro.

Zbliżyła się do drzwi. Stefan skrył się za ścianą, i ztamtąd widział jak przeszła kładkę i szła dalej nad brzegiem jeziora. Nagle, przyszło mu na myśl, że o sto kroków daléj zobaczy jego konia przywiązanego do drzewa, i będzie pogardzać tym który poważył się ją śledzić, i ta obawa tak przykrem przejęła go uczuciem, jak gdyby pogarda téj zabobonnéj góralki, mogła go unieszczęśliwić.

Gracioza zbliżała się coraz więcéj do jego konia. Stefan miał ochotę pobiedz za nią, zawołać: „Przebacz mi!“ zmusić ją aby spojrzała na niego swemi czarnemi oczami, i aby w tem jéj spojrzeniu wyczytał owo potępienie lub przebaczenie.

Szczęściem dla niego, zwróciła się nagle na wązką drożynę między górami, skracającą drogę o kilkanaście metrów, i nie spostrzegła wcale ukrytego wśród drzew Theodorosa. Wtenczas Stefan smutny, niespokojny, wsiadł na konia, zaczekał dopóki Gracioza nie znikła mu zupełnie z oczu, a potem popędził galopem ku drodze, wiodącéj przez Saint-Pierre do Bayonny.

Tłum różnych myśli snuł mu się po głowie. Kto jest ten raniony?... Czemu ukrywa się z tem że go leczy?... Rana nie musi być lekka, skoro powiedziała: „Przyjdę jutro.“ Nie można więc było przyznać się do niéj otwarcie, skoro Gracioza chcąc tam iść wybierała godzinę, w któréj każda uczciwa dziewczyna śpi już dawno, zamiast przebiegać publiczne drogi?

Jednak Gracioza nie należała do rzędu tych istot które można potępić na mocy jakiegoś pozoru, ani też oskarżyć za lada podejrzeniem. Pokładał tak silną ufność w téj wiejskiej dziewczynie, zupełnie mu nieznanéj jeszcze parę dni temu, że gdyby wszyscy w Mouguerre potępili ją jednozgodnie, gotów był stanąć mężnie w jéj obronie.

Kiedy przejeżdżał przez Saint-Pierre, jeszcze we śnie pogrążone, dzień już świtać zaczynał. Na progu jednéj fermy, spostrzegł jakiegoś pracowitego wieśniaka, który pług naprawiał. Twarz jego była wesoła, przyjemna, roztropna, jak się to nieraz spotkać zdarza. Widząc zbliżającego się jeźdźca, ukłonił się grzecznie, zdejmując czapkę.

— Dzień dobry, gospodarzu, rzekł Stefan kłaniając się także machinalnie.

— Ale też pan rano wstaje, rzekł wieśniak ucieszony jego grzecznością, i sądząc że mu wypada coś także powiedzieć.

Mówił po francuzku, co rzadko zdarza się w górach. Gracioza także mówiła po francuzku... może on ją zna? Ta myśl nasunęła mu kilka zapytań które jeszcze nad jeziorem pragnął komuś zadać.

— Wy także bardzo rano zabraliście się do pracy, odpowiedział, czy już zamyślacie rozpocząć robotę w polu?

— Tak, panie; za pół godziny moja kobieta ugotuje śniadanie i pójdę w góry.

— A!... więc rola wasza jest w górach?

— Tak, jak tu wszystkie prawie. Niektórzy wprawdzie mają pola pod Bayonną... wyborna tam ziemia!... ale mało tak szczęśliwych.

— A czy bardzo wysoko iść musisz?

— Ha! tak panie; aż do *Saut de Cloare*. Piękne to miejsce, ale może panu nieznane.

— O! tak, w tych stronach znam tylko bardzo ładne jezioro... Jakże go nazywacie?

— Nazywamy go... Jezioro.

— Czy tu jest tylko to jedno?

— Tak, panie; i oddaje ono wielkie przysługi przyległym gruntom.

— Czy i waszym także?

— O! nie; moje leżą wyżéj, ale poję tam moje bydełko.

— A czy śluzy dobrze utrzymane?... W moich stronach wybierają starannie ludzi na dozorców śluz.

— Tu nie potrzeba tak wielkiéj staranności, i ludzie dziwią się nawet że chłopak tak krzepki i młody jak Jan Bèrette, nie poszuka sobie innego zajęcia. Nie ma tu prawie nic do roboty.

— Może ten Jan Berette jest trochę leniwy?

— Jest nadewszystko synem swojego ojca.

— Lekkomyślny!... utracyusz?

— Ojciec jego umarł jak żył: ze strzelbą na ramieniu. Była to jedyna jego wada.

— A!... był przemytnikiem?

— Co pan chce; w téj rodzinie wszyscy od dziada pradziada są przemytnikami.

— Zapewnie więc wszyscy unikają z nim stosunków?

— O! panie, u nas nie przynosi to nikomu niesławy; tylko od kilku lat jest to niebezpieczne zajęcie. Rząd ma teraz bardzo czynną straż celną, która dostaje pewną część ze schwytanéj kontrabandy, to też nie minie żaden dzień, aby tam, na granicy, nie słychać było wystrzałów.

— Jest to najlepszy sposób powstrzymywania tych którzyby mieli ochotę zostać przemytnikami.

— A jednak nie powstrzymuje to nikogo; trzeba tylko być zręczniejszym i przygotować się już na to że kulki będą świstać koło uszu, a może i skórę naruszą... Nie jeden już był raniony, ale nie przyznał się do tego, z obawy aby go nie zawezwano do sądu.

— Nie jestem tak pobłażliwym dla przemytników jak wy, i życzę im aby od czasu do czasu odbierali porządną nauczkę, któraby im przypomniała że należy szanować prawa.

Wieśniak wstrząsnął głową jakby na znak że nie podziela tego przekonania; dla niego widać przepisy prawne nie zasługiwały na takie poszanowanie, jak prawo górali przenoszenia przez granicę na własne ryzyko, towarów które spodziewali się sprzedać korzystnie.

— Bywajcie, zdrowi, gospodarzu, rzekł Stefan odjeżdżając.

Teraz już wiedział jakim sposobem Jan Bèrette został ranionym, jak niemniéj czemu Jan Bèrette przemytnik nie zawezwał lekarza z Bayonny.

Stefan uspokojony tą wiadomością, ale niezadowolony z siebie że ją uważał za potrzebną dla swéj spokojności, puścił się galopem do Bayonny, bez względu na Theodorosa, który nic temu nie był winnym.

Ani państwo Bernard, ani matka nie domyślali się nawet że tak późno wrócił do domu, chociaż nie starał się bynajmniéj ukrywać tego przed nimi. Ale masztalerz oświadczył że pani de Vambry jako zaślepiona matka, będzie kiedyś żałować swéj pobłażliwości dla takiego syna, oraz że państwo nie powinniby przyjmować z tak uprzedzającą grzeczno-

ścią, tego młodego oficera tak lubiącego nocne wycieczki.

Furman przy którym czynił te uwagi, wzniósł tylko oczy do nieba a ramiona do uszu, i powiedział że idąc za przykładem jaki mu dają z góry, pójdzie na bal w niedzielę nie opowiadając się nikomu, i nie wróci aż rano.

X.

Pani de Vambry pragnęła teraz jaknajśpieszniéj wrócić do Paryża, i z pewną niecierpliwością liczyła dni które grzeczność nakazywała jéj spędzić jeszcze u Matyldy.

Pani Bernard nie nalegała także bardzo aby po została dłużéj; według niéj jak według pana de Fouzolle, na nic się to już zdać nie mogło. Jakaś fatalność zniweczyła zaraz przy pierwszem widzeniu, zamiary już i tak trudne do przeprowadzenia. Przedłużenie próby uczyniłoby ją tem przykrzejszą dla Maryi Anny, a nie mogłoby wpłynąć korzystnie na Stefana. Gdyby nie to zemdlenie, może zdołanoby obudzić w sercu młodego oficera jakąś żywszą życzliwość dla téj wątłéj milionerki, i z jakąż to prawdziwą radością doprowadzonoby do skutku związek istoty pełnéj sił i życia, z istotą któréj dni były prawie policzone.

Ileż to wynikłoby z tego dla Stefana drobnych cierpień!... Może nawet jakaś wielka boleść!... życie poświęceń! przedwczesne owdowienie!... tak przedwczesne, bo te miliony zahipotekowane jedynie na nadziejach, nie miałyby zapewnie czasu przejść w ręce męża przed śmiercią żony.

Matylda ubolewała nad tem że los uwolnił towarzysza jéj lat dziecinnych od tego nieustającego męczeństwa na które skazać go zamierzała. Musiała jednak ukrywać swoje niezadowolnienie, i udawać iż równie jak pani de Vambry cieszy się bardzo, że dość wcześnie dowiedziano się prawdy.

W parę dni po przeniesieniu się do zamku Mouguerre, margrabina zaprosiła na śniadanie pana i panią Bernard wraz z ich gośćmi. Prócz chęci okazania się grzeczną dla przyjaciół Matyldy, chciała jeszcze zwrócić baczną uwagę na Stefana, w którego postępowaniu nawet jéj powierzchowny umysł dostrzegał dziwne sprzeczności.

W całem jego obejściu nie było nic takiego coby dozwalałoby go uważać za starającego się o rękę jéj synowicy, tem mniéj zakochanego, a pomimo to bywał tak często, niezrażony dość znaczną odległością. Nie umiała sobie tego wytłomaczyć. Widywała pana de Vambry rano, wieczorem, w różnych dnia godzinach, zawsze dopytującego się troskliwie o zdrowie Maryi Anny, przynoszącego jéj wiadomości od ojca, i spełniającego najchętniéj drobne jéj polecenia.

Czemu przypisać to postępowanie, tę widoczną przyjemność jaką mu sprawiał pobyt w Mouguerre, tę niezmordowaną uprzejmość?

Margrabina chciałaby uwierzyć że to Marya Anna była tą przyciągającą go siłą, i celem jego odwiedzin. Przyciągającą siłą?... niestety! trudno się było tego spodziewać. Celem?.. ha!... kto wie?

Czy pan de Vambry pomimo swéj szlachetnéj i pełnéj szczerości fizyognomii, nie mógł należyć do większości tegoczesnéj młodzieży, przenoszącéj złoto nad wszelkie inne skarby, i gotowéj czynić największe ustępstwa byle je pozyskać? Czy ona sama nie rachowała na potęgę tego bożyszcza naszych czasów, ile razy myślała o wydaniu za mąż synowicy?

Tak, bezwątpienia, rachowała na to jako osoba którą doświadczenie nauczyło że trzeba czynić ustępstwa ułomnéj naturze ludzkiéj.

Z tych wszystkich rozmyślań wynikło, że sprzecznie z przekonaniem hrabiego i Matyldy, zaczęła się domyślać konkurenta w tym, w którym oni widzieli tylko przelotnego ptaka, gotującego się do odlotu.

Pan de Vambry jakkolwiek znużony nocną wycieczką w góry, był gotowym w oznaczonéj do wyjazdu godzinie. Tylko przyjął chętnie miejsce w powozie pani Bernard, za co Theodoros musiał mu być bardzo wdzięcznym.

Jak się to często zdarza w górach, po nocy iskrzącéj się gwiazdami, nastąpił dzień dżdżysty, i drobne kropelki ciepłego deszczu otaczały krajobrazy jakąś szarawą zasłoną. Humor Stefana zgadzał się w zupełności z tą zasępioną naturą. Rozmowa jego była tak ucinkowa i cierpka, iż Matylda zagroziła mu śmiejąc się że go zostawi na drodze, aby się w samotności wygniewał do woli.

Widok zamku de Mouguerre złagodził jego rozdrażnienie, a ukazanie się Maryi Anny na progu rozproszyło je zupełnie.

— Moja droga, rzekła Matylda wysiadając z powozu, przybywamy tu zasypane gradem złośliwych przycinków. Ten oto pan, gniewał się, oskarżał, oburzał i szydził z nas przez całą drogę, a to wszystko dla tego że niebo pokryło się chmurami, i że Mouguerre leży tak wysoko nad poziomem morza. Powiedz mi, czy to nasza wina?

— Nie, z pewnością odpowiedziała wesoło Marya Anna; będziemy się starać aby pan de Vambry mógł zapomnieć o przykrościach podróży.

— Patrz, już się uśmiecha! Moja droga, przywiozłam tu dzika... ale widzę że zamienisz go wkrótce w łagodnego baranka.

Stefan przyjął wesoło ten żarcik; podał pannie de Fouzolle rękę z uprzejmością połączoną z pewnym odcieniem uszanowania, i wprowadził ją do salonu.

Margrabina obserwując ich zdaleka, uśmiechnęła się z wyrazem szczerego zadowolnienia.

Pan de Fouzolle przybył wkrótce, i udano się na śniadanie zastawione pod obszerną werendą, zbudowaną z drzewa oplecionego bluszczem. Najpierwszym przedmiotem na którym zatrzymał się tam wzrok Stefana, była wysmukła postać Graciozy na pół ukryta w gęstym bluszczu, którego gałęzie rozpinała.

Zaczęto się unosić nad pięknością téj sali jadalnéj.

— Oto nasz dekorator, który ją doprowadził do tego stanu, z zupełnego zaniedbania, rzekła pani de Fouzolle, wskazując młodą Baskijkę.

Wszyscy w najlepszych humorach zasiedli do śniadania, a jeżeli w drodze pan de Vambry był w ponurem usposobieniu, to widać że chciał to wynadgrodzić teraz pełną dowcipu i ożywienia rozmową.

Marya Anna wzięła za rękę Graciozę, i chciała ją posadzić obok siebie przy stole, mówiąc że najwłaściwiéj aby doktór siedział przy swéj pacyentce.

— Najwłaściwsze dla Graciozy Irribery miejsce jest tam gdzie może być użyteczną, odpowiedziała piękna Baskijka kończąc rozpoczętą robotę. Kiedy już rozpięła bluszcz w fantastyczne festony, zajęła się ułożeniem przyniesionych przez służącego owoców, w koszyczkach mchem wysłanych.

Ani służąca ani współbiesiadniczka; sama wybrała sobie stanowisko.

Drobne i rzadkie kropelki deszczu z lekkim szelestem spadały na liście, z gęstwiny dochodziła woń balsamiczna, a w tem malowniczem schronieniu panowała szczera i swobodna wesołość.

— Mój Boże! jakże ja lubię Mouguerre! zawołała Marya Anna, nie zdolna powstrzymać dłużéj objawu radości po raz pierwszy napełniającéj jéj duszę.

Wszyscy wyrazili się zgodnie z objawionemi przez nią uczuciami, ale najsilniejsze sprawiły na niéj wrażenie słowa, które pomimowolnie wysunęły się z ust pana de Vambry.

— O! ja także polubiłem bardzo Mouguerre!

Po tym uroczym poranku nastąpił dzień piękniejszy jeszcze. Deszcz ustał, a ciepły wietrzyk osuszył ulice parku. Zamek posiadał niektóre ciekawe zabytki przeszłości, których daty i użytek, hrabia podjął się wskazać paniom. Gdy zaczęły mówić z zajęciem o stroju kobiety przedstawionéj na odwiecznym familijnym portrecie, Stefan oddalił się nieznacznie, wyszedł do parku i zapalił cygaro.

Błądził z upodobaniem po zacienionych i zarosłych jeszcze trawą ulicach parku, wracając zawsze ku werendzie, do któréj zapewnie przyciągały go gierlandy z bluszczu tak zręcznie porozpinane. Kilka wisien leżących na piasku przypomniało mu także tę, która je przed chwilą tak artystycznie układała w piramidy. Na wilgotnym piasku odcisnęły się ślady jéj małych baskijskich sandałów ze spiczastemi obcasami; a były mniejsze od tych które zostawiły po sobie eleganckie buciki margrabiny.

Stefan poszedł za temi śladami; zaprowadziły go w głąb parku, a potem do małéj furtki; otworzył ją i wyszedł, lecz nie znalazł już ich na drodze przez którą przechodziło właśnie bydło. W zamian za to dostrzegł wśród drzew wieżyczkę kościelną, i wszystkie wspomnienia z ubiegłéj nocy odświeżyły się w jego umyśle.

Zmarszczył brwi; rzucił cygaro i poszedł w kierunku kościoła.

W kilka minut późniéj był już na małym cmentarzu okalającym Dom Boży, którego widok oddziałał silnie na poetyczną stronę jego natury.

Wąziutkie steczki, bujna trawa, kilka leżących kamieni, krzyże gdzieniegdzie, a w głowach grobów okrągłe kamienie, bez nazwisk, bez napisów. Każdy i tak trafi do swych zmarłych. Na niektórych z tych kamieni były niezgrabnie wyryte gwiazdy, na innych, napół już ręką czasu zatarty krzyż średniowieczny.

Niektóre groby zdają się sięgać odległéj przeszłości, tak są już poczerniałe, zapadłe w ziemię, nie było to jednak dowodem zaniedbania, bo oko spotykało tam wszędzie mnóstwo kwiatów. Dzikie lilije, malwy, stokrotki, pnące róże, pokrywały całkiem groby.

Zegar obsadzony po prawéj stronie kościoła zwiastował mieszkańcom wioski upływające godziny. Na umieszczonym nad nim kartuszu znajduje się napis: *Signat et monet*; pnące róże nie długo już do niego dosięgną.

Stefan wszedł do pobielonéj wapnem kruchty, otworzył drzwi i wszedł do świątyni.

Kościołek był świeżo wyrestaurowany, odmalowany i przyozdobiony trochę rażącemi złoceniami. Dwie malutkie kapliczki tuliły się na stopniach ołtarza, a dwie galerye obiegały dokoła.

W nawie nie ma ani jednéj ławki, ani jednego krzesła, nic prócz kamiennéj posadzki. Klęczą tam kobiety w czasie nabożeństwa: mężczyźni zajmują galerye.

Kiedy Stefan wychodząc z kościoła po krótkiéj modlitwie, maczał palce w święconéj wodzie, na schodach wiodących do galeryi odezwały się lekkie kroki, i wielkie lilje srebrne obsadzone w porcelanowych wazonach, dotknęły jego czoła.

Odsunął się prędko, i poznał z zadziwieniem w niosącej je kobiecie Graciozę Irribery.

— Ty! Graciozo, zawołał mimowolnie, kiedy przechodziła obok niego.

Zdawała się nie słyszeć tego. Prócz srebrnych lilii niczego już nie brakowało na ołtarzu do jutrzejszego nabożeństwa; postawiła je, przyklękła, przeżegnała się nabożnie i wyszła z kościoła.

W kruchcie zbliżyła się do pana de Vambry bez najlżejszéj oznaki lękliwości ani też zbytniéj śmiałości, i wskazała mu natychmiast kamień grobowy na który wstąpił.

Odsunął się, spojrzał i przeczytał nazwisko ostatniego proboszcza w Mouguerre, zmarłego dwa lata temu, i spoczywającego obok swego poprzednika przed progiem kościoła. Ale na grobowym jego kamieniu stał przy murze wielki bukiet świeżych kwiatów, w skromnym glinianym wazonie, jako świadek wdzięczności i pamięci.

— Tu spoczywa ten który nie pozwalał aby mnie przezywano czarownicą, rzekła młoda Baskijka.

— Zdaje mi się, rzekł Stefan, że i następca jego powierza ci zajęcie całkiem niezgodne z tem przezwiskiem.

— Tylko czasowo pełnię obowiązki zakrystyanki, wyręczając siostrę proboszcza która złamała rękę.

— Czy równie zręcznie umiesz opatrywać ręce złamane jak przeszyte kulą? zapytał Stefan z pomimowolną cierpkością.

Spojrzała na niego bystro.

— Co pan chce przez to powiedzieć? zapytała ostro.

— Czy siostra proboszcza dozwala opatrywać się tylko w nocy? zapytał znów trochę drżącym głosem.

Gracioza spojrzała Stefanowi w oczy, ale jeżeli w tem jéj spojrzeniu było wiele prawości, to więcéj jeszcze oburzenia i gniewu.

— Chodź pan, chcę z panem pomówić, rzekła krótko.

Wyszła na cmentarz, gdzie i on udał się za nią ale zamiast zwrócić się ku wsi, szła szybko pomiędzy grobami. Wtenczas dopiero spostrzegł że wiele z nich otoczone jakby kolebką wyplecioną z łoziny, miały kształt i długość spoczywającego w nich ciała; wewnątrz rosły kwiaty.

Gracioza zatrzymała się między dwoma kamieniami, wspartemi o mur oddzielający cmentarz od drogi prowadzącéj do wsi. Był to mur bardzo nizki, usiadła na nim wskazując obok siebie miejsce panu de Vambry. Spełnił posłusznie jéj wolę.

— Chcę pomówić z panem w obec moich rodziców, rzekła starając się upewnić głos w którym po raz pierwszy czuć było wzruszenie.

— Więc oni tu spoczywają?

— Tak, to są ich groby. Jestem tu pod ich opieką.

— Czy cię obraziłem, Graciozo?

— Tak.

— Wierz mi że pomimowolnie, że tego nie chciałem...

— A więc czegóż pan chciałeś?

— A! sam nie wiem!... zrozumieć!... dowiedzieć się...

— Co zrozumieć?... czego się dowiedzieć? Co pana obchodą moje postępki? Dlaczego pan chcesz wnikać w moje życie?

— Jakże jesteś surową! całe moje przewinienie stanowi tylko silne zajęcie się wszystkiem co ciebie dotycze.

— Czy dałam panu do tego prawo?

— Jest to zajęcie pomimowolne... pełne szacunku...

— I do czegóż ono pana doprowadzi?

— O! jesteś nielitościwa! Powiem ci więc że jesteś dla mnie żywą... i przyciągającą zagadką... któréj rozwiązanie chcę miéć koniecznie.

— Chcesz pan miéć!... powtórzyła wyniośle.

Poruszyła się jakby miała powstać, zdawało się że chce coś powiedzieć, wahała się przez chwilę, a na koniec rzekła spokojnie:

— Zapomniałam że jestem prostą wieśniaczką, i że pan może nie widzieć w tem nic złego że się rozerwiesz trochę, choćbym ja przez to cierpieć musiała.

— Graciozo! zawołał z żywością.

— Mówiono mi że zdarza się to często w mieście, ale tu jesteśmy od niego daléj niż pan sądzi... i odległość tę nie tak łatwo przebyć jak się to zdawać może.

— Chciałaś mi coś powiedzieć, rzekł Stefan ujarzmiony jéj słowami; mów, z radością słuchać cię będę.

Nieszczęściem, wymawiając te słowa spostrzegł na grobie Wincenty Irribery, niektóre z tych pięknych; nieznanych mu kwiatów, które rosły dziko koło krzyża w Mouguerre, i udoskonalone chodowaniem w ogródku Graciozy. Pochylił się, zerwał kilka tych kwiatków wydających woń silną i zapytał tonem pełnym goryczy:

— Czy one są skuteczniejsze na rany przemytników..., skoro je zbierasz w nocy... na grobach?

Gracioza pobladła. Wyraz głębokiego zadziwienia, a zarazem tłumionego gniewu i żywéj boleści przesunął się szybko po jéj wyrazistéj twarzy.

Po chwili dopiero zdołała przemówić przytłumionym głosem:

— O! więc mnie pan śledził!... a ja chciałam z całą ufnością powiedzieć panu...

— Przebacz mi!... Jestem szaleńcem!... sprawiłem ci przykrość! tobie!... co myślisz o tem jedynie aby wszystkim czynić dobrze!

— A więc śledziłeś mnie pan?... I cóż pan zobaczyłeś?... Biedną góralkę nie obawiającą się ciemności nocnych, nie lękającą się wyjść z domu o téj porze w któréj miejskie dziewczęta śpią za szczelnie zamkniętemi drzwiami... Ta góralka zapomniała wziąść z domu ziół sprowadzających sen dręczonym gorączką, poszła więc po nie na cmentarz, bo wiedziała gdzie tam rosną, bo nie boi się umarłych, którzy nigdy nie zrobili i niezrobią tyle złego co żyjący. Dlaczego nie poszła w dzień?... Bo mogłoby to zaszkodzić bardzo, nie jéj ale komuś innemu... Nakoniec, szła opatrzyć człowieka niebezpiecznie ranionego, pod okiem jego matki, miała do tego prawo, bo ten człowiek jest jéj narzeczonym.

Stefan tylko wysiłkiem woli powstrzymał okrzyk wydobywający się gwałtem z ust jego. Mógł się jednak tego spodziewać, tym więcéj że w tych okolicach, zaręczyny odbywają się często jeszcze w dzieciństwie.

Pan de Vambry wszakże nie domyślał się tego wcale, i twarz jego zdradzała wymownie jak boleśnie dotknęła go ta wiadomość.

Gracioza zdawała się nie dostrzegać tego; siedziała nieporuszona, smutna, z opuszczonemi na kolana rękami.

Gdy Stefan milczał ciągle, odezwała się z mniejszą już goryczą.

— Upłynęło już przeszło dziesięć lat od chwili w któréj mnie zaręczono z Janem Bèrette. Związek ten ułożyli między sobą, spoczywający tu Dominik Irribery, i Benedykta Bèrette, czuwająca teraz przy łożu chorego syna.

To wyjaśnienie, do którego nic Graciozy nie zmuszało, złagodziło trochę rozdraźnienie pana de Vambry.

— I zapewnie byłaś z tego zadowolnioną? zapytał zimno.

— Cóżbym mogła miéć przeciwko temu? odpowiedziała; Jan Bèrette jest człowiekiem uczciwym, i ani uboższym ani też bogatszym odemnie!

— Który poprzestaje na lekkiéj pracy, jak mi mówiono.

Zarumieniła się.

— Benedykta Bèrette umarłaby z tęsknoty, gdyby jéj przyszło opuścić domek dozorcy śluz.

— Dobry syn!... tylko zanadto lubi wycieczki w nadgraniczne góry, może to lada dzień przypłacić życiem.

Gracioza zadrżała.

— Życie każdego jest w ręku Boga! rzekła powstając.

— Chcesz już wrócić do zamku, Graciozo? zapytał niespokojnie.

— Tak, odpowiedziała. Ludzie którzy nie dziwiliby się temu wcale, gdyby mnie zobaczyli o jakiéjbądź porze. wchodzącą do domku dozorcy śluz, mogliby się bardzo zadziwić, widząc pana rozmawiającego tak długo z wiejską dziewczyną, choćby w samo południe. Każdy powinien pozostać na wyznaczonéj mu drodze, a drogi nasze nie wychodzą ze szczytu tejże samej góry.

Zakończywszy rozmowę tem czysto miejscowem a prawdziwie malowniczem porównaniem, weszła na ścieżkę między grobami.

— Zostań jeszcze, zawołał Stefan prosząco, żałując że obraził istotę obdarzoną tak prawym charakterem. Rozmowa na cmentarzu nie może dać powodu do złośliwych wniosków.

— Już późno, odrzekła; zwracając oczy na zegar. Czytaj pan, ksiądz proboszcz mówi że warto zastanowić się dobrze nad tem co tam napisano.

— *Signat et monet*: *Wskazuje i ostrzega*, przetłomaczył Stefan.

— Tak, wskazuje nam że czas uchodzi, i ostrzega abyśmy go dobrze używali, a my źle go używamy. Żegnam pana.

Nie zatrzymywał jéj dłużéj. O cóż więcéj mógł się zapytać? Jedyne pytanie snujące się ciągle w jego myśli, i nasuwające mu się gwałtem na usta. byłoby z pewnością zostało bez odpowiedzi.

Od kogóż mógłby się dowiedzieć, czy Gracioza równie łatwo oddała serce Janowi Bèrette, jak rodzice przyrzekli mu jéj rękę.

Gdy już znikła na zakręcie drogi prowadzącéj do wioski, zerwał zamyślony kilka kwiatków, i wrócił do parku nie zwracając uwagi na otaczające go przedmioty. Nie obejrzał się i wtenczas nawet, kiedy biała koza którą spłoszył przechodząc koło domku Graciozy Irribery, skacząc przebiegła mu drogę.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 45.

(*Dokończenie*).

N. 35 — 36. Koszule dwie dzienne. Krój N. X i XI Fig. 54—57a.

Przy obydwóch koszulach tylko plecy stanów są marszczone, przody zaś zaszyte w drobne stębnowane zakładki, na które przy krajaniu trzeba dodać w środku stanu do ryc. 35 19 a do ryc. 36 15 cent materyału. Plecy i rękawki do koszuli N. 35 wszyte są w podwójny 3 cent. szeroki dziergany pasek; fałdki z przodu są po zastębnowaniu w górze w ząbki wydziergane a w odstępie przestębnowane skośnym, pół cent. szerokim paskiem. Stan do N. 36, wszyty jest w podwójną listewkę 1 i pół cent. szeroką, w którą nawłóczy się tasiemeczkę do przyciągania koszuli; w tęż listewkę w górze wstębnowany jest szlaczek haftowany, do którego deseń dajemy na Fig. 57a.

N. 40. Ubranie z paletocikiem dla małych dziewczynek.

Przy sukience z szafirowej serży, stanik zastąpiony jest paletocikiem z kamizelką. Spódniczka ogarnirowana plisowaniem 14 cent. i bufą 4 cent. szeroką; kamizelka niewiele krótsza od paletocika, jest z jasnego, deseniowego, wełnianego materyału, z którego są także patki przy kieszeniach i na mankietach rękawów. Guziki złote w kształcie kulek.

N. 42. Szlak haftowany na konopnym meblowym materyale w dwóch kolorach. Do haftu służą włóczki albo filozele w kilku kolorach. Na zakończenie u dołu dodana frendzla 7 cent. szeroka.

Opis do N. 46.

N. 1—2. Suknia ze stanikiem przemarszczanym z przodu i suto ubieraną spódnicą. Krój na ark. Nr XI, Fig. 62—67.

Ciemno bronzowy reps wełniany użyty jest na tę suknię, a do przybrania służy pekin, lub velowes frappé, frendzla lub koronka 9 i 4 cent. szeroka i wstążka 3 cent. szeroka. Stanik, którego krój załącza Fig. 62 — 66 ma dodana kamizelkę ciągle utrzymującą się w modzie, przody są przemarszczane, a z tyłu spada małe, zręcznie przepięte wstążką karoczko. Na przemarszczenie naddaje się wierzchu podług linii prostej, a podszewkę kraje się podług Fig. 62; przemarszczenie wypada wzdłuż linii kropkowanych trzy razy do zaszewek, u góry na 4 u dołu na 3 cent. szerokości. U dołu przodu są także trochę nadmarszczone i zachodzą na kamizelkę składając punktem do punktu. Wzdłuż zaszewek wierzch marszczy się od punktu do krzyżyka, o ile zbywa nad podszewkę. Plecy zszywają się od h do i, dalej brzegi oszywa się frendzlą czy koronką i o 6 cent. niżej łączy z sobą; na szwie łączącym plecy z bokami od e do f fałduje się plecy podług krzyżyków i kropek, a następnie brzeg dolny podpina w górę składając gwiazdką do gwiazdki; fałdy przykrywa wstążka przeprowadzona podług ryc. 1 i związana u dołu w kokardę. Spódnica ma u dołu 220 cent. obwodu; draperya upięta z poprzecznie wziętych brytów, 60 cent. szerokich; w miejscach gdzie przez ścisłe sfałdowanie draperyi odsłania się suknia, bryty jej przykryte są takim jak przybranie materyałem. Fig. 67 na arkuszu z krojami przedstawia niewidoczne na ryc. 1 — 2 boczne przybranie, złożone z pasa materyału użytego do ubrania sukni, w górze 13 u dołu 17 cent. szerokiego, przepinanego patkami 7 cent. szerokiemi. Patki te ściągają draperyę do tyłu, z drugiego boku draperya podpina się węzłami z tego co sukna materyału, z końcami trójkątnemi liczącemi z brzegów prostych po 15 cent. długości. Sposób przybrania sukni objaśniają ryciny 1—2.

N. 4—5. Serweta z wyszyciem krzyżykowem. Desenie na arkuszu Fig. 8—91.

Kwadrat z cienkiego piaskowego płótna kanwowego 145 cent. długi, stanowi tło serwety wyszytej ściegiem krzyżykowym bawełną niebieską i ponsową równej grubości i granatową trochę grubszą. Fig. 89 — 91 podają desenie szerokich szlaków a ryc. 5 załącza bardzo ładny desenik wązkiego szlaczka.

N. 6. Pudełeczko na bilety wizytowe. Deseń na arkuszu Fig. 88.

Uklejone z tektury, pokryte szarem płótnem ma brzeżki objęte skórą i postawione jest na postumenciku drewnianym wyższym w jednym końcu. Przykrycie z płótna podklejonego atłasem zapina się z boku na guziki i opatrzone jest uszkiem ze wstążki, do wsuwania ołówka. Gałązka wyhaftowana kolorowym jedwabiem załączona jest na Fig. 88.

N. 7—9. Spódniczki ciepłe filcowe.

Obwód dolny spódniczki wynosi 224 cent., szerokość górna 108. Rycina 7 przedstawia model z popielatego filcu, oszyty plisowaniem 8 cent. szerokiem, z popielatego atłasu, danem dwoma rzędami, u góry zakończonem wypustką aksamitną; zamiast nagłówka dane naszycie wskazane (w połowie szerokości) na ryc. 9. Druga spódniczka wskazana na ryc. 8 jest z niebieskiego zielonego filcu z plisowaniem 15 cent. szerokiem, przedzielanem w równych odstępach kontrafałdami 3 cent. szerokiemi, ozdobione 2 i pół cent. szerokiem naszyciem z atłasu, danem w odstępie 2 cent. od brzega i przestębnowane środkiem. U góry dana 6 cent. szeroka plisa również atłasem przeszyta.

N. 10—11. Fartuszek ozdobiony hafem dzierganym. Deseń na arkuszu Fig. 45.

Skromny fartuszek z mocnego płótna domowej roboty, ozdobiony jest tylko szlakiem wszytym na 10 cent. od dołu, którego deseń podaliśmy na Fig. 45 część w połowie szerokości dla braku miejsca. Dzierganie dane z grubej ponsowej bawełny; szlak do napierśnika załącza ryc. 11; środek deseniu służy na kieszonkę. Napierśnik jest 19 cent. długi, 22 szeroki, krajany prosto a do dołu na 12 cent. ścięty skośno Na fartuszek potrzeba kawałka 78 cent. długiego a 72 szerokiego; u góry przy wszyciu w pasek zakłada się po bokach w dwie kontrafałdy dane w odstępie 18 cent.

N. 14. Krzesło plecione w kształcie zydla z poduszką haftowaną. Deseń na poduszkę patrz Fig. 92.

Forma krzesła zbliżona jest bardzo do prostych zydli, jakie spotykamy w chatach wieśniaczych, ale ozdobne wyrzeźbienie z drzewa ciemno bejcowanego, toczone nogi i haftowana poduszka zrobiły z niego ładny mebelek dający się postawić w eleganckim męzkim pokoju lub t. p. Poduszka płasko wysłana, przywiązana grubemi jedwabnemi sznurami z kwastami, wyszyta na tle bronzowem pluszowem filozelą oliwkową jasną i ciemną. Taki rodzaj wyszycia opisaliśmy na ryc. 31—32 w N-rze 43.

N. 19—20. Bluza męzka do polowania. Krój na arkuszu Nr X, Fig. 57—61a.

Fig. 57 — 61 dopełnione podług wskazanych miar, podają formę dogodnej luźnej bluzy, którą odpowiednio do pory robi się z grubego lub letniego materyału. Przody, rękawy, pasek i klapki są na kiprowanej podszewce; kołnierz jest z podwójnego materyału ze sztywną podszewką wsuniętą w środek; brzegiem przodów podszyte listewki u góry 11 u dołu 3 cent. szerokie. Fałdy w każdym przodzie są na załamaniu przestębnowane wzdłuż na 54 cent., następnie przestębnowywa się przody poprzecznie, w odstępie 26, 17 i 9 cent. od ramion. Między podszewkę i wierzch wpuszczają się kieszenie perkalowe, po 20 cent. głębokie a szerokie odpowiednio do wskazanych na kroju przecięć. Pas 92 cent. długi a 2 i pół szeroki, zapięty na sprzączkę, jest na środku pleców przystębnowany a z boków i z przodów przytrzymany wąziutkiemi paseczkami danemi na szwach bocznych o 23 cent. od pachy, a z przodu na fałdach o 45 cent. od ramion.

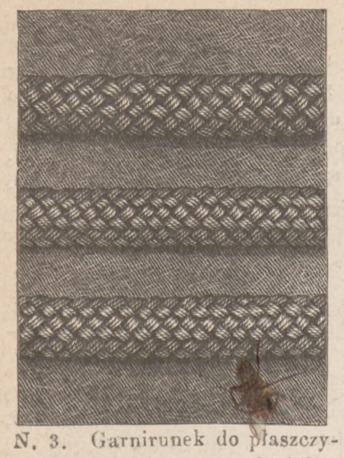
N. 20. Mufka z torebką, dla myśliwego na polowanie.

N. 22 i 30. Suknia z suto przybraną spódnicą i stanikiem z baskiną.

Ryciny 22 i 30 przedstawiają suknię z dwojakiego materyału: oliwkowego i ciemno ponsowego mieniącego (chaugeaut), od których ładnie odbija pekin w pasy czarne i kolorowe. Spódnicę nie sięgającą do ziemi zakończa u dołu plisowanie 14 cent. szerokie; 5 cent. szerokie fal-



N. 1—2. Ubranie ze stanikiem z długą baskiną, z przodu przymarszczonym. Krój i model N. XI, Fig. 62—67.



N. 3. Garnirunek do płaszczyków i t. p., z naszytych kilku rzędów plętni.

baneczki, zachodzące na siebie, naszyte są na przednim brycie wzdłuż na 56 cent. podług ryc. 22. Z boków tego garnirunku dane gładkie bryty, wszyte w pasek od sukni tylnemi skośno ściętemi brzegami przyczepione do sukni, a z przodu i u dołu oszyte 11 cent. szeroką plisą z pekinu. Części panier dane powyżej, schodzące się w środku, z przodu trochę zaokrąglone, fałdują się i przypinają podług ryc. 22 i 30, zakończone są plisą 7 centym. szeroką i 9 cent. szeroką frendzlą. Na upięcie z tyłu sukni potrzeba dwóch brytów po 122 centym. długich, 56 szerokich, zszytych środkiem w całej długości, u góry założonych w dwie potrójne kontrafałdy a z boków podpiętych w cztery fałdy zwracane do dołu. O 22 cent. od dołu bryty te są znów zebrane w potrójną kontrafałdę. Stanik którego baskina rozchodzi się z przodu, zdobny jest szeroką plisą, plecy zaś są nieszyte u dołu na 12 cent., z boków przykrojone dłużej, założone są w fałdy, poczem złączone z boczkami.

N. 23. Suknia z częściami panier dodanemi przy staniku

Na to ubranie użyty jest niebieski wełniany materyał i jedwabna materya w turecki deseń. Długi stanik z baskiną, dopełniony marynarskim kołnierzem i rodzajem bawetowo ściętego plastronu, odznaczonego z brzegów przyszyciem, 4 cent szerokiej pliski z wypustką, ma dodane u dołu części panier przyszyte szwem odwracanym, które schodzą się z przodu pod kokardą Przybranie i upięcie na spódnicy wskazuje ryc. 32.

N. 24. Worek futrzany na nogi. Deseń zobaczyć na Fig. 93—95.

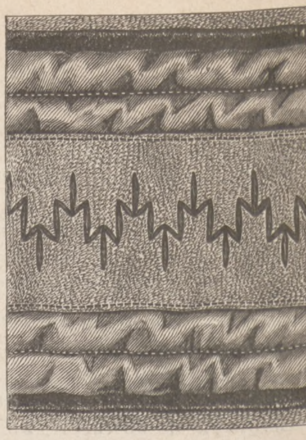
Elegancki worek do nóg odrobiony z granatowego aksamitu ma zwierzchu wyhaftowaną piękną cyfrę ściegiem płaskim, białym jedwabiem i nitką srebrną; drobny rzucik na który desenie załączają Fig. 93—95 dany filozelą białą, blado różową i oliwkową.

N. 25 — 25. Ubranie dla dziewczynki lat 6 — 8. Krój na arkuszu Nr. XIII, Fig. 75—81a.

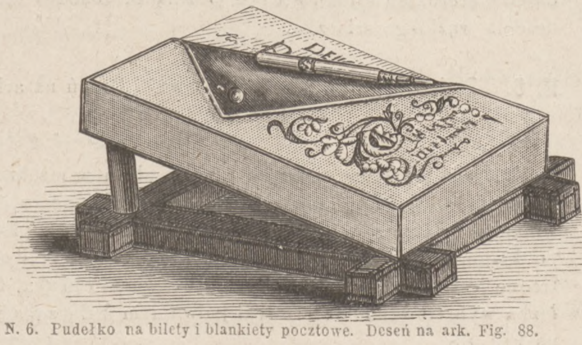
Składa się ze spódniczki i vêtement formą princesse z granatowej serge, przybrany takąż materyą faille. Spódniczka 46 centym. długa, u dołu 120, w górze 92 cent. szeroka, zakończona plisowaniem 15 cent szerokiem. Fig. 75—81 załącza w naturalnej wielkości krój vêtement, które od góry poddaną ma podszewkę; długość i szerokość dopełnia się podług miar wypisanych na zmniejszonym formacie. Pierwsze i drugie części pleców zszywają się w całej długości, zaś łącząc przody z plecami zakłada się 16 cent. od dolnego brzegu (wyciętego w zęby oszyte wypustką jedwabną) po trzy fałdy zwrócone ku górze, po 2 cent. głębokie, przy plecach zaś o 13 cent. od brzegu fałdę 9 cent. głęboką zwróconą do dołu, poczem zszywa je się na 13 cent. wzdłuż. Części jedwabne plisowane, 15 centym. szerokie wszyte są między plecy i przody i między zębami u dołu, jak to wskazuje ryc. 25 i 26. Kołnierz dopasowany podług Fig. 80. pokryty materyą jedwabną tak że na około widać materyał spodni na 1 cent. szerokości. Zapięcie przodów kończy się nad fałdami pod kokardą; przybranie sukienki wskazują ryciny.



N. 4. Serweta na stół ozdobiona haftem krzyżykowym. Deseń wązkiego szlaku na ryc. 5, inne desenie na ark z formami Fig. 89-91.



N. 9. Plisa wyszywana i małe bufki z wypustkami, jako garnirunek do spódnicy rycina 7.



N. 6. Pudełko na bilety i blankiety pocztowe. Deseń na ark. Fig. 88.

N. 27—28 i ryc. 36 w N. 47. **Paletot** z odcinaną baskiną. **Parasol** zakończony śpiczasto w górze.

Paletot z popielatego materyału zdobny aksamitem, mało różni się krojem od przedstawionego na ryc. 7—8 w N. 47 i można będzie dopasować go podług kroju jaki załączamy do ryc. 7 i 8. Przody zapięte na dwa rzędy guzików mają przyszyte części oddzielne zachodzące się na siebie, gdyż brzegi odciętej baskiny zaledwie tylko się dochodzą. Parasol oryginalnym kształtem zbliżonym do wieżyczek przy chińskich pagodach, zakończony śpiczasto w górze; laska z prętami przedstawiona jest oddzielnie na ryc. 28; pokrycie jedwabne nie opiera się na prętach lecz wyżej przymocowane jest do laski podług linii kropkowanych.



N, 7. Spudniczka z popielatego filcu. Garnirunek w połowie naturalnej wielk, ryc. 9.



N, 10. Fartuszek do gospodarstwa ozdobiony haftem dzierganym, Deseń na ryc, 11 i Fig, 45,



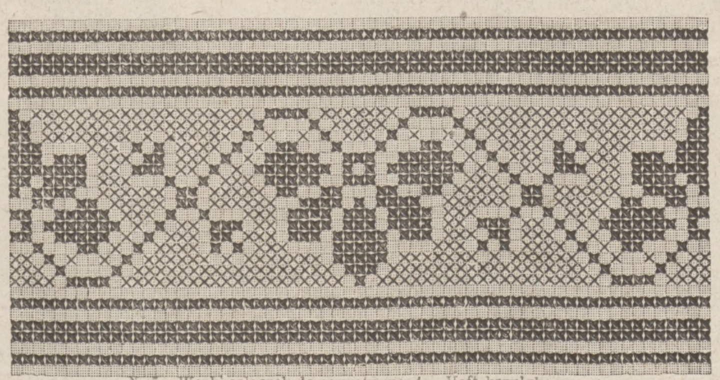
N, 8. Spódnica z filcu paskowego koloru,

N. 29. Krawatka do wiązania na okrycia.

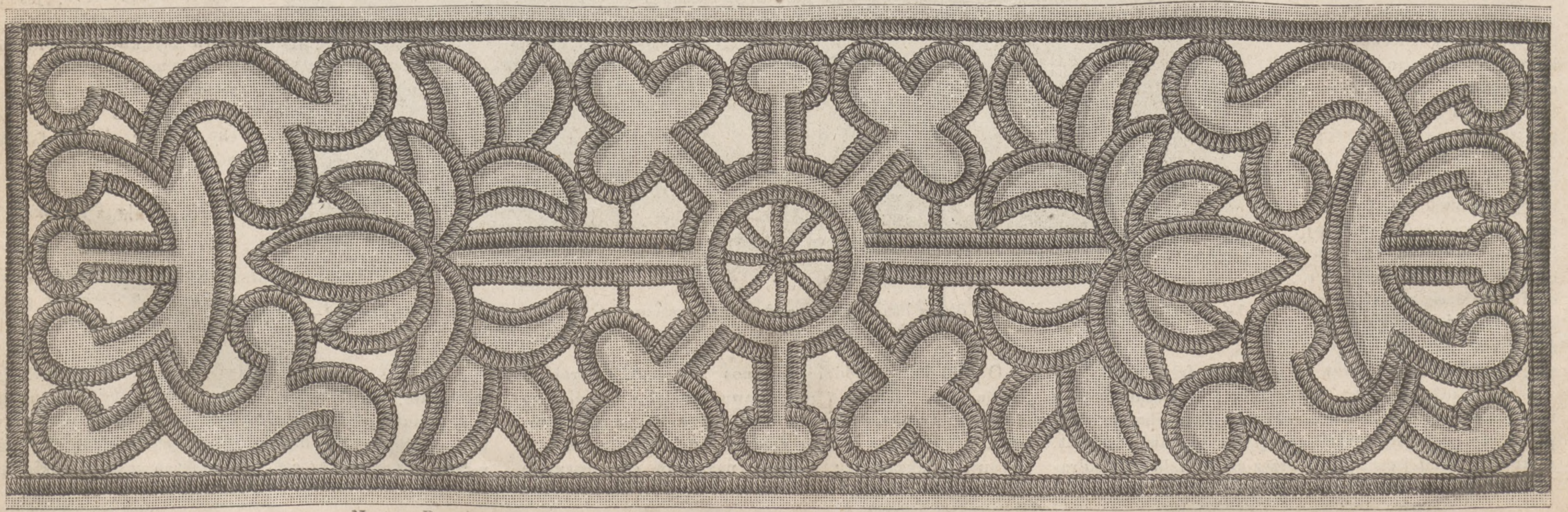
Szeroka, strojna krawatka jest crêpe de chine w paski i liczy 29 cent. szerokości a 170 długości; paski odznaczają się wypukle nakształt bufek. Na końcach naszyta dwoma rzędami koronka bretońska plisowana 7 centym. szeroka, a między nią dana falbanka z crêpe lisse haftowana jedwabiem.

N. 31. Suknia z marszczonym stanikiem.

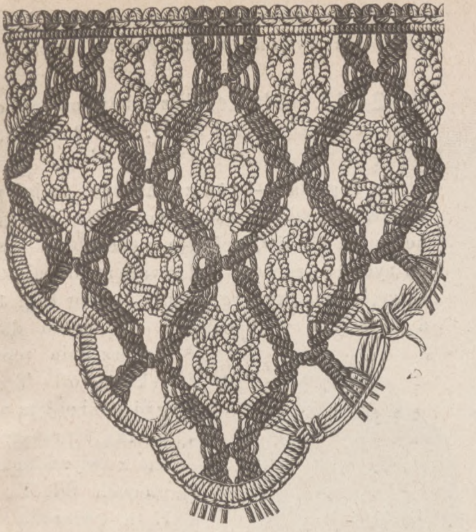
Spódnica z gładkiej ciemnej faille, z krótkim



N. 5. Wązki szlaczek do serwety ryc. 4. Haft krzyżykowy.



N. 11. Deseń naturalnej wielkości, na napierśnik do fartuszka ryc. 10. Szlak dolny na Fig. 45.

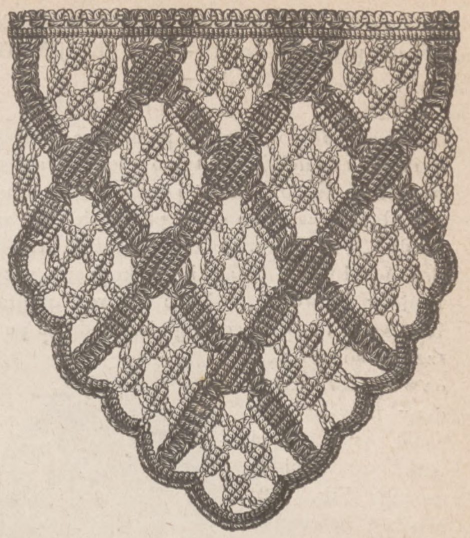


N. 12. Ząb do lambrekiny do koszyczka na klucze. Robota macramé w dwóch kolorach.

trenem ma u dołu 45 cent. szeroki garnirunek, złożony z dwóch zachodzących na siebie falbanek plisowanych i z bufek przemarszczonych kilka razy, z których wyższa zakończona nagłówkiem 4 cent. szerokim. Panier przy staniku i draperya upięta na sukni są z fularu w rzucik kolorowy. Na uwagę zasługuje stanik z przemarszczonemi przodami, odpowiedni szczególniej dla osób szczupłych, który wymaga doskonale dopasowanej podszewki a marszczenie dane jest tylko w materyale zwierzchnim; przody zapięte na kryte haftki. Kapelusz filcowy zdobny kilkoma piórami.



N. 14. Stołek drewniany z poduszką haftowaną. Deseń haftu na Fig. 92.



N. 13. Ząb do lambrekiny do koszyczka. Robota macrame w dwóch kolorach.

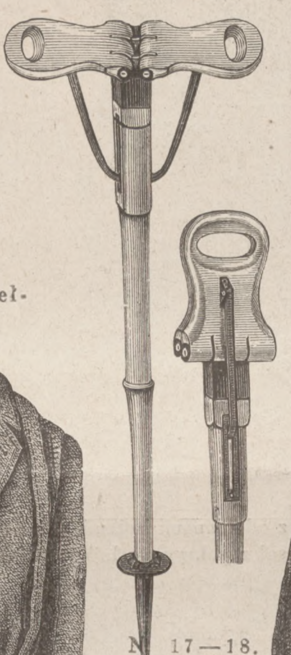
Opis do N. 47.

N. 2 Kapelusz z czarnych piór w kształcie toczka.

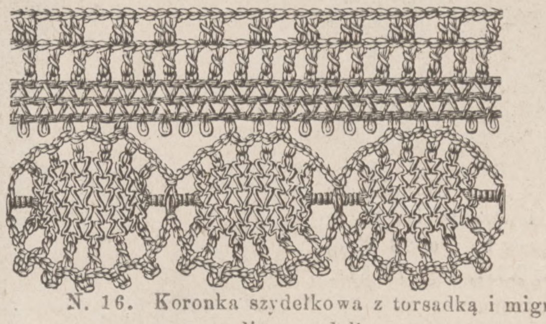
Foremka ze sztywnego tiulu, z rondkiem nieco odstającem, w górę odwiniętem, jest cała pokryta małemi czarnemi piórkami, których czubki na główce odwrócone są w górę, a na rondku wystają trochę z brzegów, a końce w tyle na środku przykryte są dłuższemi, na dół spuszczonemi piórkami, pod któremi przypięte są dwa końce gazowe 100 cent. długie a 45 szerokie. Z boku przypięta na kapeluszu kokarda z czarnej atłasowej wstążki, z klamrą stalową.



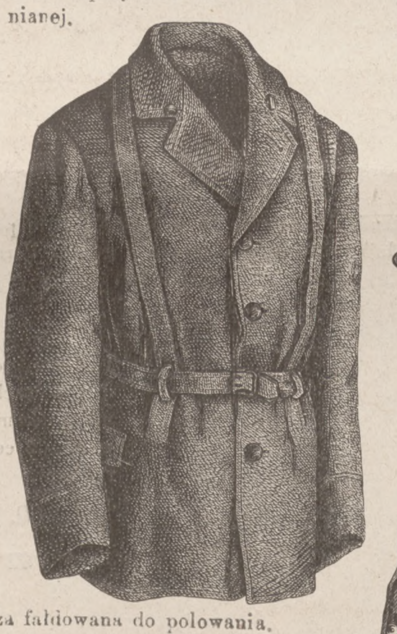
N. 15. Koronka szydełkowa przy torsadce bawełnianej.



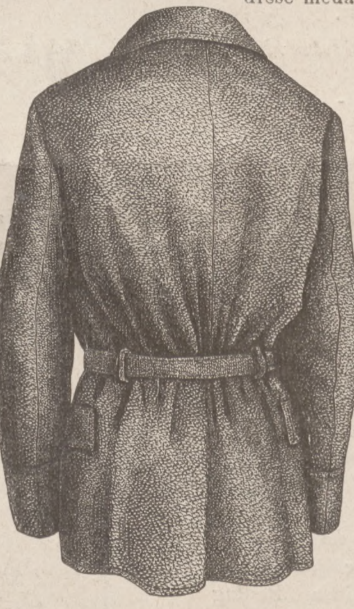
N. 17—18. Stołek składany do polowania. Koniec żelazny wbija się w ziemię.



N. 16. Koronka szydełkowa z torsadką i mignardisse medaljonową.



N. 19. Bluza fałdowana do polowania. Plecy na ryc. 20. Krój Nr. X, Fig. 57—61a.



N. 20. Bluza fałdowana do polowania. Przód i krój ryc. 19.



N. 22. Suknia ze stanikiem z baskiną i suto ubraną spódnicą.

N. 3 oraz 23 i 24. Kapelusz formą kapotkową z bronzowego pluszu.

Rondo kapelusza jest z tyłu załamane w sposób wskazany na ryc. 3, a z przodu do czoła przygięte, podszyte aksamitem bronzowym i ozdobione podpięciem z aksamitu naszytego przez środek sznurem bronzowym, ozdobionym szmelcowanemi stalowemi perełkami z boku dodany bukiecik z pączków żółtych róż i bronzowych liści. Zwierzchu kapelusz ubrany jest aksamitem naszytym szmelcowanemi perełkami, a z tyłu nad karczkiem przepasana wstążka atłasowa na dwie strony, 6 cent. szeroka, z boku przepięta emaljowanym owadem, której końce służą do wiązania. Inne podpięcie i wygięcie rondka przedstawiamy na ryc. 24.

N. 4—6. Poduszka do kanapy, robiona na grubej niedzielonej kanwie zwanej kanwą hiszpańską.

Rycina 4 przedstawia w zmniejszeniu deseń całej poduszki, rycina 6 czwartą część haftu z zachowaniem właściwych ściegów, a rycina 5 wskazuje grubość kanwy i sposób wykonania dwóch rodzajów ściegów gobelinowych. Jak widziemy kontury deseniu odznaczone są wszędzie ściegiem krzyżowym, którem także tło zapełnia. Środek zaś deseni zarabia się dwoma rodzajami ściegów gobelinowych, pod które trzeba najpierw od jednego do drugiego brzegu podłożyć poprzecznie nitkę włóczki, a pod rząd początkowy poddaje się 2 nitki. Obadwa ściegi są dokładnie wskazane na próbce a i b. Środek niektórych liści zdobią żyłki widoczne na ryc. 6. Do roboty używa się włóczki crewel w kolorze czarnym na tło, a na arabeski w kolorze łososiowym, blado niebieskim, oliwkowym, lila i wodnym zielonym. Krzyżyki nie na dwóch jak zwykle, lecz na jednej nitce kanwy są robione.



N. 21. Mufka z kieszenią na ładunki, do polowania.



N. 23. Ubranie z częściami panier, dodanemi przy baskinie.



N. 24. Worek do nóg haftowany na aksamicie. Deseń na arkuszu z formami Fig. 53—95.

N. 7 — 8. Paletocik z przyszywanemi połami, dla panienki lat 12—14. Krój N. III, Fig. 15—22.

Do przodów i boczków paletocika poły są dodane oddzielnie, a tylko plecy krają się w jednym ciągu. Ażeby przody leżały zupełnie gładko, zaszywa się w piersiach jedną zakładkę. Pod dziurki do zapinania trzeba dodać od spodu listewki; w kołnierz przykrojony podwójnie, włożyć sztywne płótno. Kieszenie 12—15 cent. głębokie dać z podszewki od spodu, a otwór zwierzchni dany przy zeszyciu pół, przykrywają patki przykrojone podług Fig. 22. Model paletocika był z piaskowego materyału Double w drobne paski z ciemniejszym spodem, kołnierz, przody i patka przy kieszeniach objęte wypustką z bronzowego pekinu; guziki były pokryte atłasem bronzowym, z którego wązkiemi rulonikami, odznaczone także były dziurki pod guzikami na kieszeniach i mankietach. Dół paletocika wązko obrąbiony.



N. 25. Ubranie dla dziewczynki lat 6—8. Plecy na ryc. 26. Krój N. XIII, Fig. 75-81a.



N. 27. Ubranie z paletocikiem z odcinanemi połami. Patrz ryc. 36 w N. 46. Krój podług ryc. 7 i 8 w N. 46. Parasol z pokryciem lejkowato przedłużonem w górze. Parasol bez pokrycia rycina 28.

N. 9. Kaftanik do figury, bez rękawów. Krój N. XV, Fig. 87.

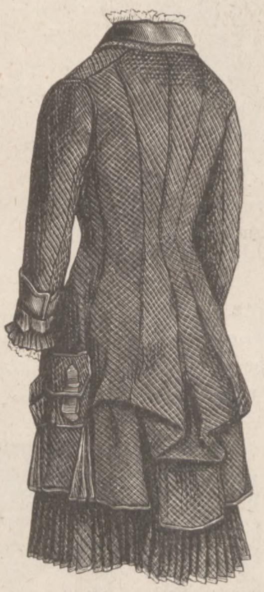
Taki kaftanik odrobiony z aksamitu, atłasu, albo jedwabnego repsu, na podszewce z kolorowej flanelki, włożony na suknię ze stanikiem, służy nietylko na ubiór po domu, lecz i na wyjścia w dni ciepłe jesieni lub wiosny. Podług wzoru podanego na Fig. 87, przykroić go można podług formy stanika. Model odrobiony był z czarnego pikowanego atłasu, a kamizelka i kołnierz szalowy z pekinu. Kaftanik taki najwłaściwszy jest do sukien czarnych.

N. 10—11. Kapelusz okrągły duży z pluszu z długim włosem. Wskazane na rycinach wygięcie ronda, utrzymuje elastyka przyszyta od spodu. Ubranie ze wstążki 6 centym. szerokiej, tego co plusz koloru przepięte dwoma bursztynowemi szpilkami.

N. 12—13. Płaszczyk z rękawami ściętemi w prostokąt. Krój N. II, Fig. 9—15a.

Na Fig. 9a — 15a zestawione są jak potrzeba wszystkie części formy. Wązkie, górne części pleców, pokryte w sposób wskazany na ryc. 13, repsem fałdowanym, dopełnione są częściami przykrojonemi podług Fig. 12, a zeszytemi z boczkami od Q do dołu. Zwierzchnia część rękawa od T do gwiazdki objęta wypustką, przyszywa się z wierzchu na plecach od T do U a gwiazdką do dwiazdki łaczą się oba rękawy pod piękną szmuklerską agrafką z kwastami. Od R — S zeszywa się rękaw na ramionach, a od S do V do wykroju pachy przy płaszczyku, obejmuje się jedwabną wypustką. Model odrobiony był z materyału Double w drobne, skośne prążki z wypustkami przy dużym wykładanym kołnierzu, przodach i rękawach z atłasu. Guziki a'asowe, szeroka frendzla jedwabna ze sznelą. Rękawy z przodu ozdobione plisami 6 centymetrów szerokiemi z aksamitu w paski, i 4-ma jedna na drugą zachodzącemi pliskami repsowemi, 2 cent. szerokiemi.

(*D. c. n*).



N. 26. Ubranie dla dziewczynki lat 6—8. Przód i krój patrz rycina 25.



N. 30. Suknia ze stanikiem z baskiną i ubieraną spódnicą. Patrz ryc. 22.



N. 29. Krawatka na płaszczyku do upięcia.



N. 28. Parasol niepokryty do ryc. 27.



N. 31. Suknia z marszczonym stanikiem.



Pl. 410.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.